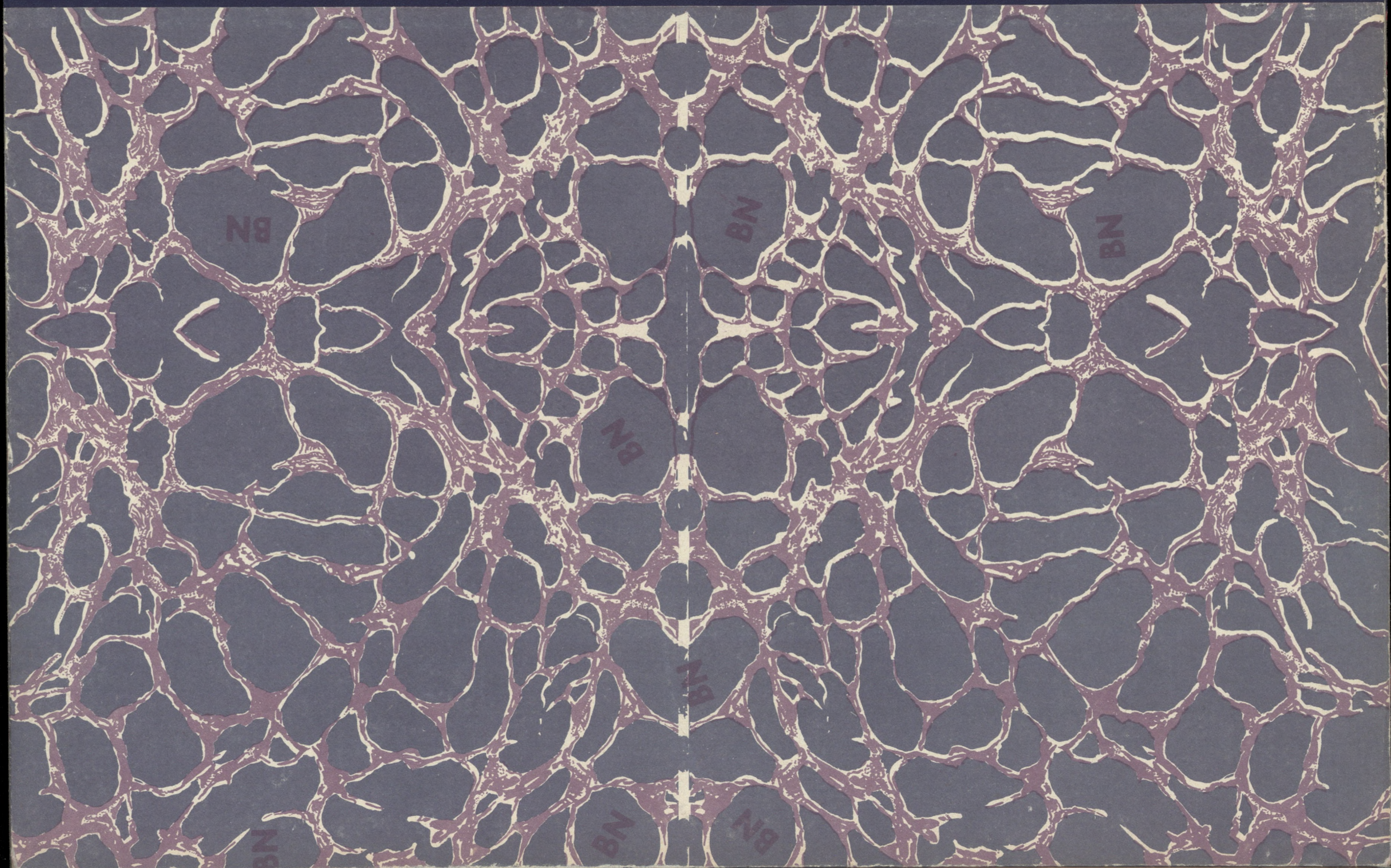
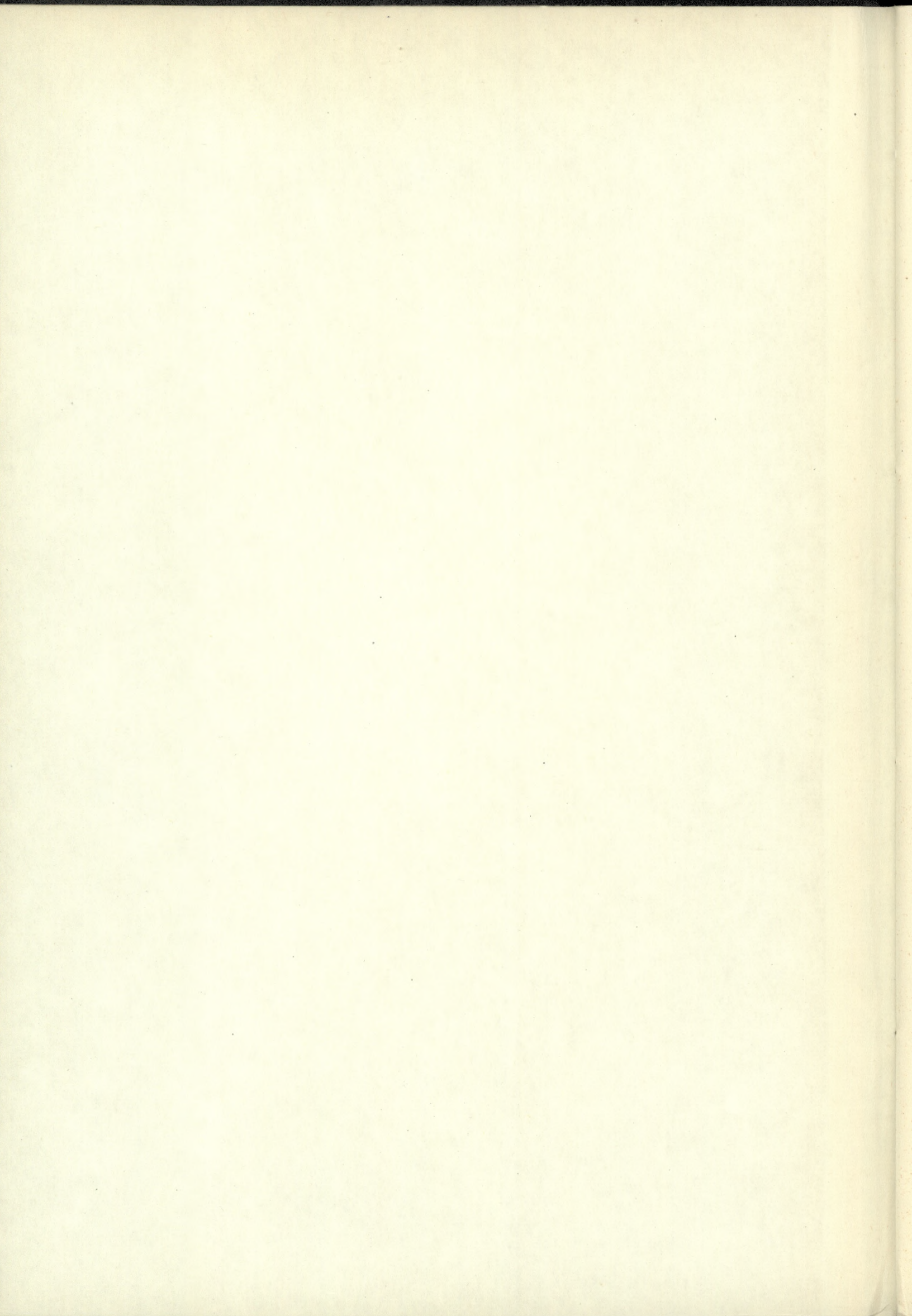
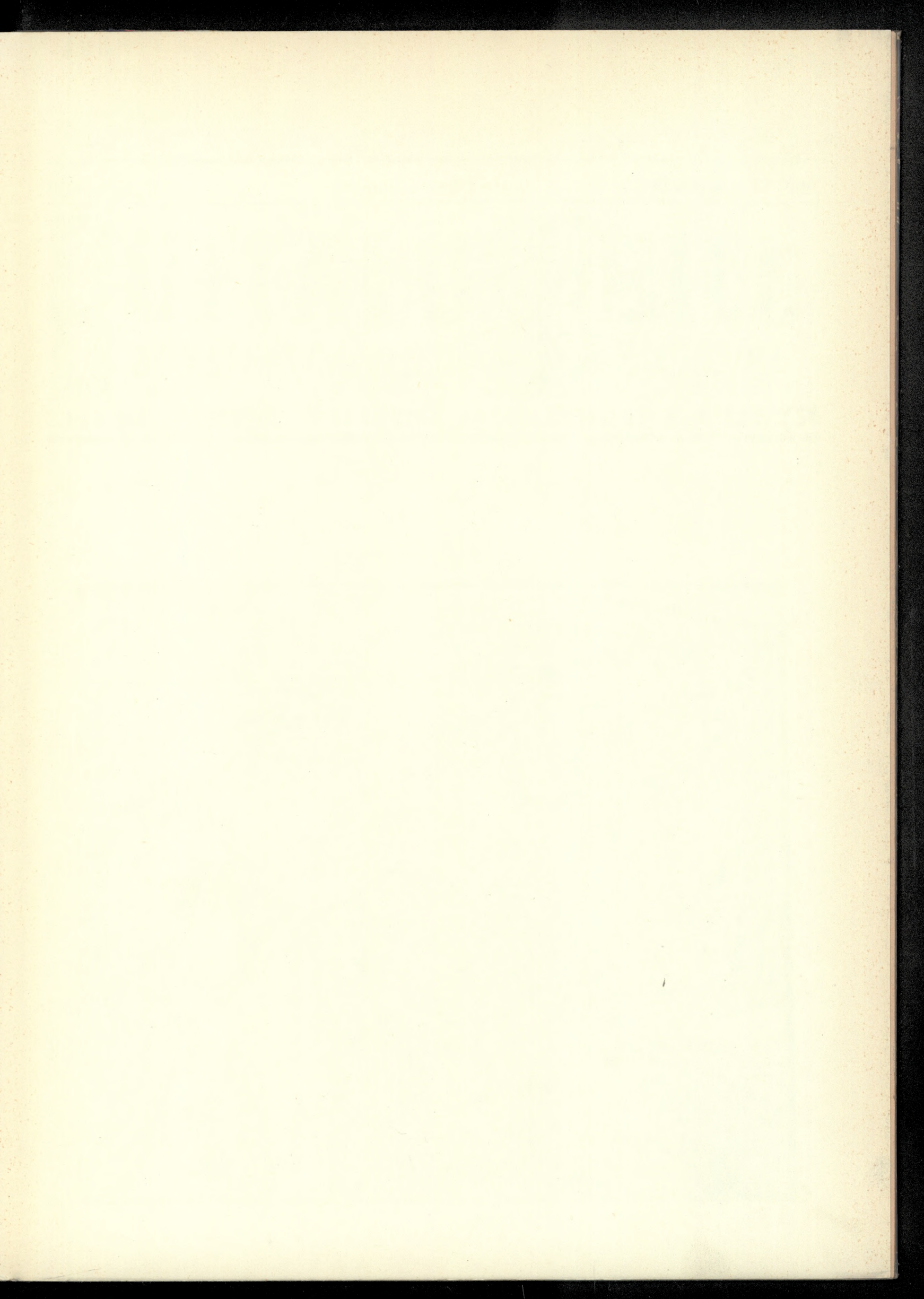
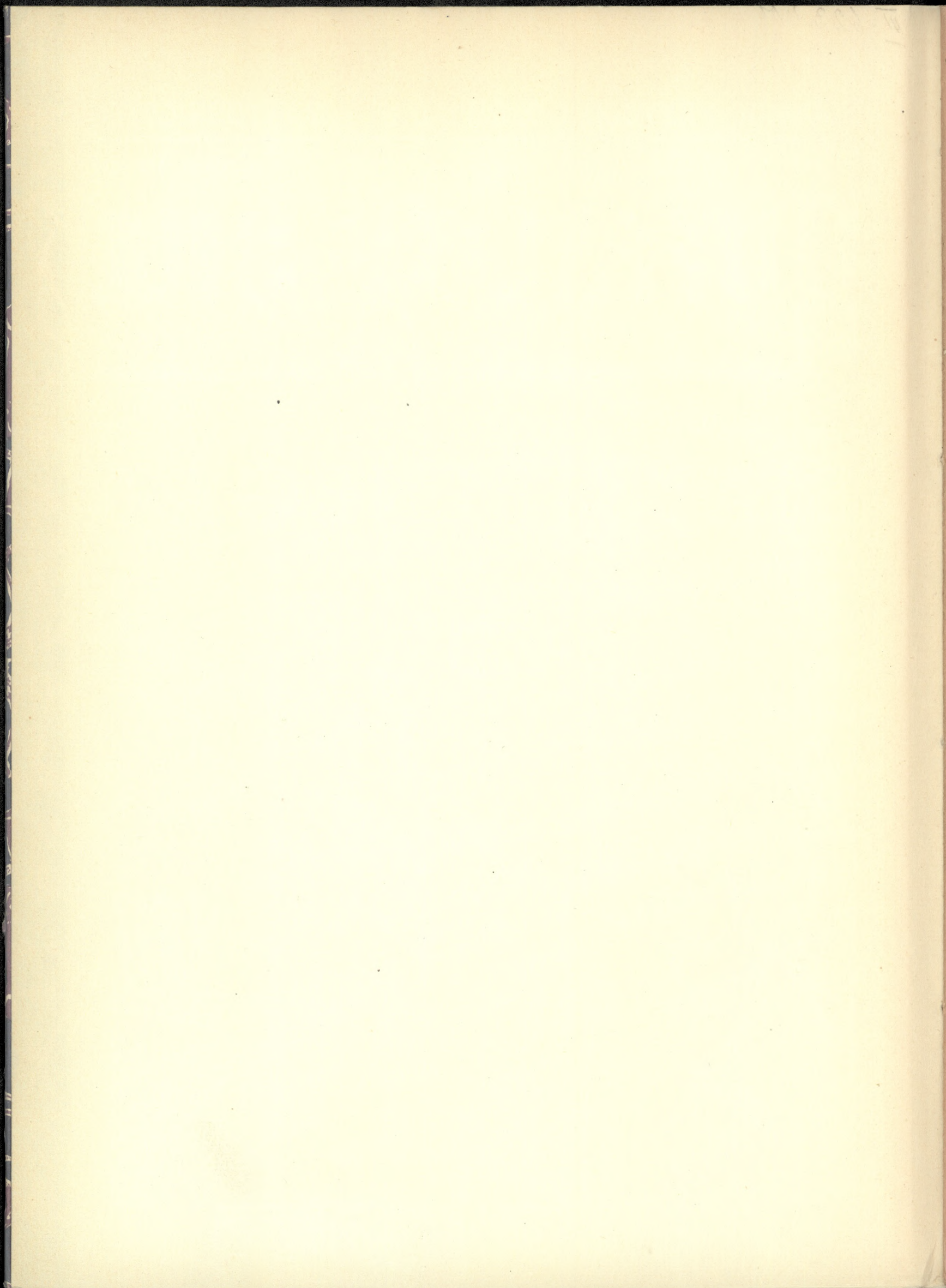


623406 \59









III-623.406

35 300

TYGODNIK PRZYGÓD I OPOWIADAŃ AWANTURNICZYCH.

NR. 59.

23 marca 1939 roku.

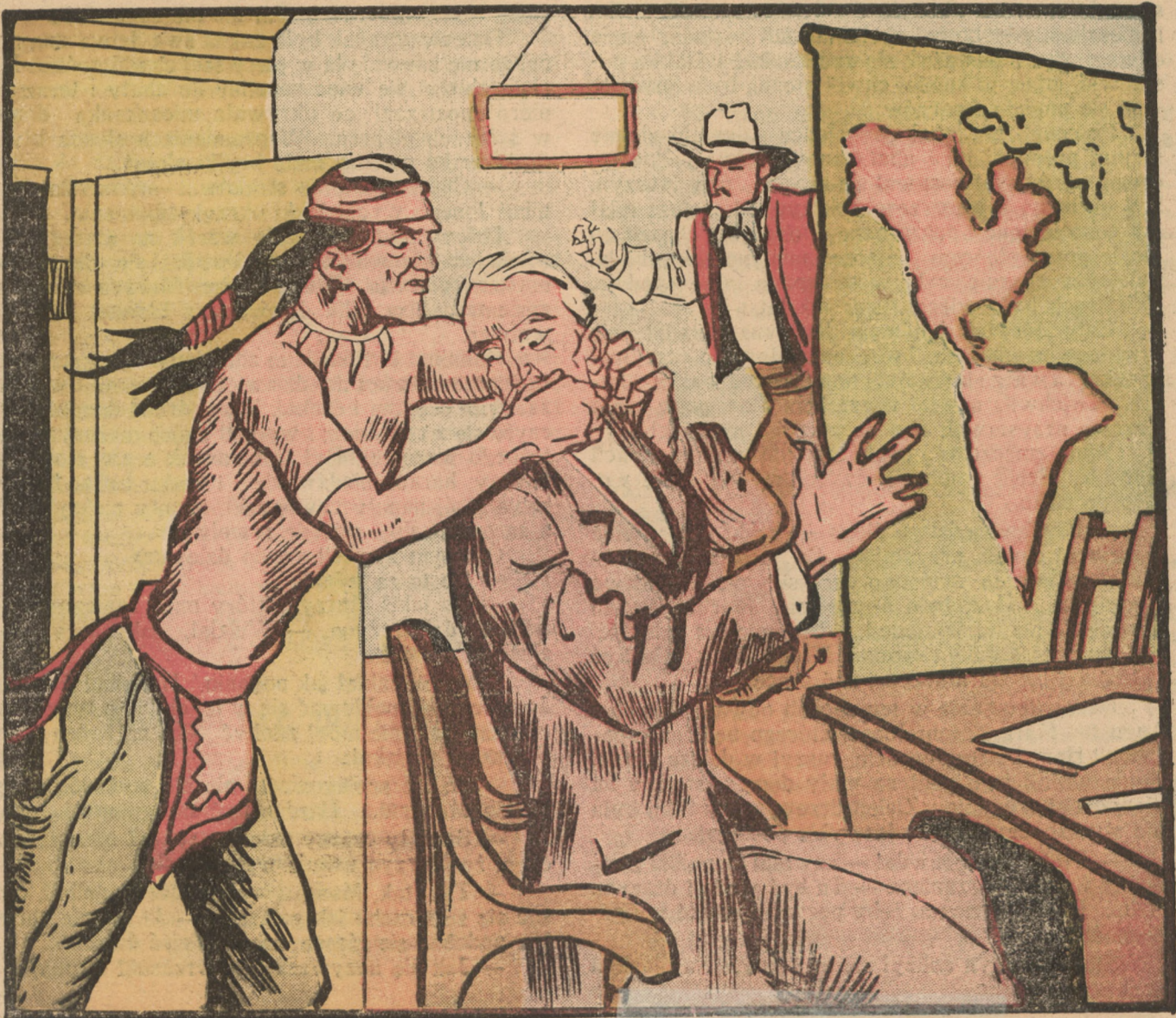
CENA 10 GR.

BUFFALO BILL

BOHATER DALEKIEGO ZACHODU

NIEZWYKŁE PRZYGODY PUŁKOWNIKA AMERYKAŃSKIEGO W. F. CODY'EGO

BIAŁY RENEKAT



BUFFALO BILL

BOHATER DALEKIEGO ZACHODU



BIAŁY RENEGAT

Przygoda Hannibala Jonesa

Mniej więcej w połowie drogi między fortami Grand i Tomas, wśród skalistej i nieprzystępnej pustyni, jakiś Meksykanin dokopał się niegdyś wody. W miejscu tym powstała studnia arzezyjska, a w kilka lat później zbudowano tu nawet domek.

Domek ten, zbudowany w stylu meksykańskim, był jedynym osiedlem ludzkim w tej pustynnej okolicy. Obok chaty widać było mały ogródek, a w zagrodzie rżało kilka koni. W promieniu kilkudziesięciu kilometrów nie było śladów białego człowieka i mieszkańcy samotnej chaty musieli posiadać wiele odwagi, skoro odważyli się zamieszkać w takim pustkowiu, gdzie w każdej chwili można było spodziewać się napadu Apaczów.

Pewnego poranka, gdy słońce zalewało ziemię swymi promieniami i upał panował iście piekielny, droga wśród skał posuwał się zwolna stary Murzyn. Był on bosy, a jego szerokoskrzydły kapelusz miał tak postrzępione i poszarpane dno, że nie chronił go wcale przed słońcem. Starzec miał na sobie białą, płócienną koszulę, całą w strzępach, oraz spodnie, w których było więcej dziur niż lat.

Cały dobytek biednego Murzyna składał się z małego zawiniątka, które pieczolowicie trzymał w ręku. Twarz starca była popielata od piasku i kurzu. Co chwila ocierał wierzchem dłoni pot z czoła i często przystawał, aby zaczerpnąć nieco tchu.

Mimo zniechęcenia i upału stary Murzyn nie tracił humoru. Szedł zwolna i przyśpiewywał sobie wesoło do taktu.

— Bardzo mnóstwo źle... — rzekł do siebie w pewnej chwili, przystając dla odpoczynku. — Mnóstwo gorąco, mnóstwo chce się pić, mnóstwo zmęczenie... Hannibalu Augustusie Marku Antoni Jonesie — nie iść już dalej!... Nie móc już dalej iść. Ale musisz iść dalej i spotkać Massa Cody. On byłoby dobry dla biedna Murzyn i dać pracę.

Dodawszy sobie w ten sposób odwagi Hannibal Augustus Mark Antoni Jones, którego będziemy nazywali Hannibalem Jonesem, ruszył w dalszą drogę. Nagle wzrok jego padł na mały domek, stojący na niewielkiej wyżynie. Zieleń drzew w ogródku była dla strudzonego starca niezwykle pociągająca.

— To nie być prawda! — zawołał Hannibal z radością i niedowierzaniem. — Tu być woda i drzewa. Ach... Poprosić massa, żeby pozwolił zostać tu i odpocząć!...

Stary Murzyn zbliżył się do chaty. Na płaskim

dachu domku spostrzegł białą dziewczynę, która wydawała się być zajęta rozkładaniem wielkich straków czerwonego pieprzu do suszenia. Takie było przynajmniej pierwsze wrażenie Hannibala Jonesa, ale po chwili spostrzegł on, że dziewczyna zajmowała się dziwnymi manipulacjami ze strakami pieprzu.

Dziewczyna rozcinała straki nożem, kładła do ich wnętrza jakieś małe przedmioty, a potem zalepiała straki napowrót.

— Co ona robić? — zastanawiał się w myślach stary Murzyn. — Hannibal nic nie rozumieć...

Dziewczyna tak była zajęta swą dziwną pracą, że nie zauważyła w pierwszej chwili gościa. Murzyn zbliżył się więc zupełnie do chaty i teraz dopiero spostrzegł, co ukrywała mieszkanka domku w strakach pieprzu. W promieniach słońca błyszczały w jej palcach małe bryłki złota!

— Chowa złoto do straków... — pomyślał Hannibal Jones i wydał lekki okrzyk zdumienia.

Dziewczyna podniosła wzrok na starego Murzyna i na jego widok z ust jej wydarł się okrzyk zdumienia i gniewu. Zanim biedny Murzyn zdołał się zorientować w ręku dziewczyny błysnął mały rewolwer.

Hannibal był bardziej zdumiony niż przerażony. Stał przed chatą z rozdziawionymi ustami i wybaluszonymi oczyma i czekał. Nagle drzwi domku otworzyły się z trzaskiem i wypadł z nich mężczyzna potężnego wzrostu. Był to człowiek o złej i okrutnej twarzy, w barach niedźwiedzia i karku byka. Miał na sobie strój napół cowboyski, napół meksykański, a za pasem dwa wielkie rewolwery.

Olbrzym zwrócił się do dziewczyny

— Co to za jeden?

— To jakiś Murzyn, który mnie szpiegował, — odparła dziewczyna. — Widział, jak ukrywałam złoto w strakach.

Olbrzym zaklął jak poganin. Hannibal Augustus Jones chciał znajdować się w tej chwili o tysiące mil od chaty, ale nie mógł zdobyć się na żaden ruch. Wreszcie wyjąkał:

— Ja nie szpiegować... nie nie widzieć... być biedna Murzyn!... Bardzo być spragniony i...

— Stać, ty czarny pies! — ryknął olbrzym, widząc, że Murzyn usiłuje wycofać się.

— Tak, tak, Massa... — zawołał Hannibal, trzęsąc się ze strachu jak galareta. — Ja nic nie chcę. Nie podobać się Massa, zaraz odejść daleko!...

— Jak się nazywasz? — wrzasnął olbrzym.

— Hannibal Augustus Mark Antoni Jones... — wyjął przerażony Murzyn.

— Tylko tyle?

— Tak, Massa... Nie mieć więcej imion. Tak mnie nazwać i to nie być moja wina...

— Skąd idziesz?

— Z Cedah Springs, Massa... Moja być ucziwy Murzyn... Moja...

— Czym jesteś z zawodu, czarny psie!...

— Moja być kucharz. Gotować dla poszukiwaczy złota...

— Dokąd idziesz?

— Do fortu Grant, Massa. Bardzo zmęczony, bardzo stary... Moja mieć sześćdziesiąt dwa lata.

Olbrzym wy dobył z za pasa wielki nóż i począł nim manewrować w taki sposób, że na biednym Murzynie zcierpła skóra.

— Idź swoja drogą, ropueho! — wrzasnął nagle olbrzym. — Niech cie tu więcej nie widzę, bo...

Hannibal Augustus nie czekał na dalszy ciąg. Wziął nogi za pas i pobiegł wzdłuż zakurzonej drogi z szybkością antylopy, mimo sześćdziesięciu dwóch lat i zmęczenia. Olbrzym i dziewczyna roześmieli się głośno z jego pośpiechu.

— Och, cch, och!... — jęczał Hannibal, biegnąc bez tchu.

Gdyby Murzyn obejrzał się za siebie, dostrzegłby szczupłego i smukłego Indianina, o ruchach pantery, który spoglądał w jego stronę. Na twarzy Indianina malował się wyraz okrucieństwa i dzikości.

— Hoskannini!... — zawołał olbrzym.

Indianin podbiegł do olbrzyma, który wyciągnął rękę w kierunku uciekającego Murzyna. Indianin pobiegł bez słowa w ślad za biednym Hannibalem Augustusem. Olbrzym uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Możesz teraz pracować spokojnie dalej. — rzekł do dziewczyny. — Hoskannini załatwi się z tym czarnym durniem i nikt nie dowie się o niczym.

Tymczasem Murzyn zatrzymał się w dość dużej odległości od domku i odetchnął. Nareszcie nie widział już strasznego olbrzyma i jego groźnego noża, nareszcie był bezpieczny. Odpoczął nieco i ruszył w dalszą drogę.

Droga prowadziła w tym miejscu między dwiema ścianami skalnymi, z których jedna kończyła się i opadała w dół, tworząc głęboką przepaść. Trakt był dość szeroki, aby mogły nim posuwać się pojazdy, ale Hannibal nie szedł środkiem drogi, lecz posuwał się brzegiem.

Nagle z za skały wypadła jakaś ciemna postać i zanim biedny Murzyn zdołał się zorientować, został potężnym ciosem zepchnięty w przepaść. Ze straszliwym okrzykiem przerażenia runął w dół.

Hannibal Jones nie zginął jednak. Uratował się cudem, aby potem móc oskarżyć tych, którzy chcieli go zgubić.

Anonimowe pogrożki

— Niech się pan ze mnie nie śmieje, Cody — rzekł gubernator Brathwaite, opierając się wygodnie o poręcz fotela i zaciągając się cygarem. — Może to zreszta jest śmieszne, ale mam przeczucie, że grozi mi poważne niebezpieczeństwo.

Buffalo Bill uśmiechnął się.

— Czego się pan obawia? — zapytał.

— Hm!... — mruknął gubernator. — Zakończył

pan już wszystkie swe sprawy u nas, ale chciałbym pana poprosić o pewną przysługę.

— Jestem na pańskie usługi, gubernatorze. — rzekł Cody.

— Wie pan, Buffalo, jaka ta okolica jest niepewna, — rzekł Brathwaite. — Przybywają tu z Texas i Meksyku bandy wyrzutków społeczeństwa i rabują co i gdzie się da. Bandyci mają doskonałe kryjówki w górach i nie obawiają się pościgu. Jesteśmy zupełnie bezsilni. Wie pan, że prawie co dzień donoszą nam o nowym napadzie na dyliżans lub transport towarów.

Buffalo Bill skinął głową.

— Taki stan rzeczy nie może dłużej trwać. — ciągnął gubernator. — Mieszkańcy całej okolicy nie są pewni życia.

— Czy może mi pan wymienić kilka faktów? — zapytał Cody.

— Oczywiście! Przed miesiącem zatrzymano i obrabowano dyliżans w Paymasters Hill, na drodze między fortami Grant i Thomas. W kilka dni później dokonano napadu na bogatego Meksykanina w okolicy fortu Huachuca. Obrabowano również rancho w okolicach Mount Turnbull, skąd skradziono wielkie stado koni. Wreszcie, w ostatnich dniach, na drodze do Solomonsville ograbiono doszczętnie kilku górników, którzy odkryli bogate złoża złota i z ładunkiem cennego kruszcu dążyli do osady. Dwóch z nich zostało poważnie zranionych i walczy obecnie ze śmiercią.

— Czy wszystkie te napady są dziełem jednej bandy? — zapytał wywiadowca.

— Tak mi się wydaje, — rzekł gubernator.

— Na jakiej podstawie opiera pan swe przypuszczenia?

— Nie mam żadnych dowodów, ale wydaje mi się, że kolejność i częstość tych napadów nie mogą być przypadkowe.

— Należy przesłuchać ofiary napadów, — zauważył Buffalo Bill. — Bogaty Meksykanin, rancho z Mount Turnbull, ranni poszukiwacze złota — wszyscy oni widzieli zapewne napastników. Słyszałem również o napadzie na skład z bronią w Ocate. Możliwe, że to dzieło tej samej bandy rabusiów.

Gubernator potrząsnął głową.

— Nie, Cody, — rzekł. — Ofiary były tak zaskoczone, że nie mogą powiedzieć o wyglądzie napastników.

— A jednak, może...

— Jedno tylko jest pewne, — przerwał Brathwaite. — Wszyscy napadnięci twierdzą, że bandyci są Apaczami.

Buffalo Bill nie ukrywał zdumienia.

— Moim zdaniem Indianie nie są zdolni do tego rodzaju wystąpień. — rzekł.

— I ja tak myślę, — rzekł gubernator. — Wiem, że Apacze zdolni są do niezorganizowanego napadu i rabunku, a poza to, mordują oni zwykle swe ofiary, aby zdobyć skalpy. Ta zaś banda jest doskonale zorganizowana i zajmuje się przede wszystkim rabunkiem. Przypuszczam, że na czele Indian stoi jakiś biały zdrajca.

— Pan powiedział, że dwaj górnicy walczą ze śmiercią, — rzekł Cody. — A więc, Indianie chcieli ich zabić...

— Ponieważ napadnięci stawiali opór.

— Hm!... — mruknął Cody. — Czy ma pan jakieś podejrzenia?

— Nie, ale jestem pewny, że na czele bandy

Apaczów stoi biały renegat, który powstrzymuje ich od zabójstw, gdyż obawia się ewentualnej odpowiedzialności. Przypuszczam również, że banda ma licznych wywiadowców w osadach Jankesów i Meksykanów. Napady wydarzają się zwykle wtedy, gdy nadarza się po temu sposobność.

Dyżans został zaatakowany wtedy, gdy wiozł ładunek złota. Bogaty Meksykanin miał przy sobie dwadzieścia tysięcy pesos, gdyż miał zamiar kupić konie w rancho Mount Turnbull. Bandyci zrabowali zarówno pieniądze, jak i konie. Również właściciel składu z bronią został obrabowany tego samego dnia, gdy sprowadził większy ładunek karabinów. Tak więc, bandyci urządzali napady na zgóry upatrzone obiekty i ludzi. Muszą wobec tego posiadać gęstą sieć wywiadowców.

— To bardzo możliwe, — zgodził się Buffalo Bill.

Brathwaite pochylił się do ucha Códvego.

— I jestem pewny, że w Phoenix również znajdują się sprzymierzeńcy bandytów... — rzekł.

— A jednak banda nie występuje w mieście, — zauważył Cody.

— Tak, to prawda — rzekł gubernator. — Phoenix jest jednak siedzibą władz i dlatego bandyci muszą tu mieć swoich ludzi. Jako gubernator stanu wyznaczyłem pięć tysięcy dolarów za ujęcie herszta tej bandy. Zanim jednak zdołałem to opublikować, bandyci już o tym wiedzieli i oto, co dziś otrzymałem...

Gubernator otworzył szufladę i wydobyl z niej jakiś papier. Podał go Buffalo Billowi i wywiadowca odczytał:

„Jeśli gubernator ośmieli się zadrzeć z Ludźmi z Południa i występować przeciwko ich kapitanowi, biada mu! Gdy tylko ukaże się o-wieszczenie o cenie, nałożonej na głowę naszego kapitana, damy o sobie znać.“

Buffalo Bill rzucił kartkę na biurko.

— Ten drab posuwa się zbyt daleko, — rzekł z uśmiechem. — Człowiek, który obawia się o swoją skórę, powinien być nieco skromniejszy.

— W każdym razie rozumie pan, że jestem nieco niespokojny, — rzekł Brathwaite.

— Więc nie wywiesi pan ogłoszenia?

— Ależ tak! Dziś po południu afisze ukażą się na mieście.

— Dobrze!

— Ale oczekuję również, że „Ludzie z Południa“ dadzą o sobie znać..

— Chyba, że ja się wmięszam w tę sprawę, — uśmiechnął się Buffalo Bill.

Gubernator uściśnął serdecznie dłoń wywiadowcy.

— Dziękuję panu, — rzekł z uśmiechem.

— W każdym razie musi pan mieć przy sobie coś, z czego można wyrzucić sześć kawałków cłowiu w ciągu kilku sekund. — dodał Buffalo Bill.

— Pomyślałem już o tym, — odparł gubernator, — Mam jednak pewien plan...

— Jaki?

— Powinien pan udać się do Solomonville w przebraniu bogatego człowieka, który zamierza kupić działkę kopalnianą. Pańscy przyjaciele powinni udać się za panem. Bandyci niechybnie zostaną powiadomieni o wyjeździe bogacza i urządzią napad, a wtedy będzie pan mógł ująć ich kapitana i zdobyć przyrzeczoną przez mnie nagrodę.

Buffalo Bill zamyslił się nad tym projektem

ale w tej samej chwili sekretarz gubernatora Rodd zaanonsował jakiegoś interesanta.

— Niech pan się jeszcze nad tym zastanowi, Cody, — rzekł na pożegnanie Brathwaite. — Zobaczymy się jeszcze dziś popołudniu.

— Porozmawiam z Dzikim Billem, — oświadczył Buffalo Bill.

Cody zostawił gubernatora w biurze i udał się do swych przyjaciół do hotelu. Po drodze rozmyślał nad propozycją Brathwaitea i nad wykryciem tajemniczego białego dowódcy czerwonoskórych złoczyńców.

Tajemniczy napad

Punktualnie o godzinie trzeciej po południu Buffalo Bill zameldował się u sekretarza gubernatora. Rodd miał minę niezmiernie zaambarasowaną i był wyraźnie podniecony.

— Co się stało? — zapytał Buffalo Bill.

— Nie tak głośno... Na miłość Boską, nie tak głośno... — wykrztusił z trudem Rodd, rzucając wystraszone spojrzenie w stronę gabinetu gubernatora.

— Czy ktoś zachorował?

— Nie, ale...

— Gdzie jest gubernator?

— Nie wrócił jeszcze z obiadu. Zaraz przybędzie...

— Dobrze, ale co się tam właściwie stało?

— Niech pan zajrzy do gabinetu... — szepnął sekretarz.

Buffalo Bill zbliżył się do drzwi, zajrzał przez dziurkę od klucza i skonstatował, że w pokoju nikogo nie ma. Uderzył go tylko fakt, że okno było otwarte.

— Tam nie ma nikogo, — rzekł spokojnie wywiadowca.

— Tam jest ktoś... jakiś Indianin... Apacz... — wyjąkał Rodd.

— Apacz? Nie widziałem nikogo!..

— Schował się do garderoby...

— Co pan widział?

— Widziałem, jak wszedł przez okno, a potem słyszałem, jak otwierał drzwi do garderoby.

— Dlaczego pan nie wszedł tam?

— Nie umiem walczyć z Indianami, a po za tym mam pewien plan.

— Jaki plan? — zapytał Cody.

— Ten Indianin może być współnikiem „Ludzi z Południa“ i może działa z ich polecenia. Gdyby panu udało się go schwycić, może wydobyłby pan z niego jakieś informacje.

Buffalo Bill uśmiechnął się.

— Dobrze! — rzekł. — Urządę w gabinecie zasadzkę na niego. Niech pan nic nie mówi gubernatorowi o Indianinie.

— Ale...

— Niech mi pan wszystko pozostawi!

— Ale ten drab pana zobaczy, gdy wejdzie pan do gabinetu!..

— Niekoniecznie. Niech pan tylko uważa... — rzekł z uśmiechem Buffalo Bill.

Wywiadowca opuścił przedpokój i Rodd, który stał przy oknie, zobaczył, jak Cody wchodzi do gabinetu przez okno. Okno to było umieszczone w ten sposób, że nie było go widać z garderoby. Tak więc Buffalo Bill bezszelestnie wślizgnął się do gabinetu, nie zauważony przez Apacza.

Po chwili w przedpokoju zjawił się gubernator, spieszący do swych zajęć. Brathwait, jak zwy-

kie, skierował się do swego gabinetu, ale sekretarz zagroził mu drogę.

— Panie gubernatorze... — rzekł

— Co się stało?

— Niech się pan zatrzyma na chwilę...

Gubernator pochylił się nad stołem, na którym leżała ćwiartka papieru, a Rodd szepnął mu do ucha:

— Niech pan zostawi tu kapelusz... Niech się pan nie zbliża do garderoby... i niech pan o nic nie pyta.

— Ale... — zaczął gubernator.

— Nic, nic... — przerwał mu Rodd. — Może pan teraz spokojnie zabrać się do pracy.

Brathwaite był niemało zdumiony zachowaniem się swego sekretarza, ale nie pytał o nic, lecz wszedł do gabinetu. Usiadł spokojnie przy stole i począł przeglądać papiery.

Buffalo Bill ukrył się tymczasem za wielką mapą Stanów Zjednoczonych i przez mały otwór obserwował pilnie pokój. Nagle drzwi od garderoby otworzyły się bezszelestnie i stanął w nich tajemniczy Indianin.

Na twarzy Apacza widniał wyraz okrucieństwa i przebiegłości. Powoli zbliżył się do pogrążonego w pracy gubernatora i stanął za jego krzesłem. Błyskawicznym ruchem wyciągnął ręce i chwycił Brathwaite'a za gardło.

Z ust gubernatora wydarł się zdławiony okrzyk. Buffalo Bill nie czekał już dłużej. Wiedział wszystko, co chciał wiedzieć. Wypadł ze swej kryjówki za mapą i rzucił się na Indianina. Nagle pojawienie się wywiadowcy zaskoczyło Apacza nie mniej, niż pojawienie się Apacza zaskoczyło gubernatora.

Ale Indianin nie stracił przytomności umysłu. Jak piskorz wyślizgnął się z rąk Buffalo Billa i porwał za nóż. Cody chwycił go za rękę i ścisnął przegub dzikiego jak w kleszczach. Po chwili obaj walczący potoczyli się na ziemię.

Rodd pobiegł do umywalni i przywiósł kilka ręcz-

ników. Błoda twarz sekretarza ukazała się w uchylonych drzwiach.

— Panie?...

— Sprowadź policję!... Szybko!...

— Daj mi najpierw linę!... — zawołał Buffalo Bill, który z trudem przygniótł przeciwnika do ziemi.

Rodd pobiegł do umywalni i przywiósł kilka ręczników, którymi Buffalo Bill skrepował Apacza. Następnie sekretarz pobiegł jak jeleń do najbliższego posterunku policji, aby sprowadzić pomoc.

— Wielki Boże!... — westchnął gubernator, ocierając pot z czoła. — Taki napad w biały dzień... To niezwykle!...

— Wszystko skończyło się szczęśliwie, — rzekł spokojnie Buffalo Bill.

— Ale w jaki sposób zdołałście się obaj jednocześnie ukryć w moim gabinecie? — zdziwił się Brathwaite.

Buffalo Bill wyjaśnił sytuację.

— Chciałem go schwytać na gorącym uczynku, — rzekł na zakończenie.

— Więc ten lotr chciał mnie zadusić?

— Wydaje mi się, że takie miał polecenie, — rzekł Buffalo Bill. — Prawdopodobnie został tu przysłany przez dowódcę bandy.

— A więc przypuszcza pan, że „Ludzie z Południa“ chcieli w ten sposób spełnić swe groźby?

— Tak mi się wydaje. A zresztą, dowiemy się niebawem...

Buffalo Bill pochylił się nad jeńcem i przeszukał go starannie, ale nie znalazł przy nim broni palnej.

— Kto jesteś? — zapytał w narzeczu Apaczów. Indianin nie odpowiedział, lecz obrzucił wywiadowcę spojrzeniem pełnym nienawiści.

— Chciałeś zamordować gubernatora? — zapytał Cody.

Indianin milczał.

— Kto cię tu przysłał?

Indianin w dalszym ciągu udawał gruchomego.

— Niech mu pan obieca nagrodę, jeśli wyda swego herszta, — rzekł gubernator.

— To nie ma celu, — rzekł Buffalo Bill.

Istotnie, Indianin, który zrozumiał słowa gubernatora, uśmiechnął się z pogardą.

Po chwili zjawili się Rodd i szeryf Mac Gillicudy.

— Co to znaczy? — zawołał szeryf ze zdumieniem. — Ten człowiek chciał pana zabić, gubernatorze?

— Tak się wydaje, — odparł Brathwaite.

— Czy panowie badali go?

— Nie udziela odpowiedzi, — rzekł Buffalo Bill.

— Ten Indianin przybył prawdopodobnie konno z daleka. Jego spodnie są zupełnie zabłocone. Pan zna okolice, szeryfie, może pan więc poznać, z jakiej okolicy pochodzi ten gatunek ziemi.

Mac Gillicudy obejrzał dokładnie kilka grudek zeschniętego błota i rzekł:

— Tak zabrudzić można się tylko w okolicy Adobe Wells, między fortami Grand i Thomas.

— Dziękuję panu, — rzekł wywiadowca. — To jest pierwszy ślad.

— Czy pan namyślił się nad moim planem? — zapytał gubernator.

— Tak, — odparł Cody. — Znalazłem jednak lepszy plan.

— Niech go nam pan wyjawi.

— Tu jest niebezpiecznie mówić, gdyż ściany mogą mieć uszy, — rzekł wesoło Buffalo Bill. — W każdym razie zamierzani wraz z moimi przyjaciółmi wybrać się na małą wyprawę w góry. Mam nadzieję, że nie wrócimy z pustymi rękoma.

Szpieg

W hotelu Buffalo Bill zastał tylko młodego Indianina z plemienia Piutów Małego Lamparta, który był jego najwierniejszym towarzyszem wypraw. Dzikie Bill i Nick Wharton udali się na konną wycieczkę w okolice, a baron Wilhelm van Schuitzenhauser spacerował po mieście.

— Dziś nie doczekamy się ich już, — rzekł Buffalo Bill do Małego Lamparta. — Zaczekamy do rana, a jeśli nie zjawią się, wyruszymy w drogę sami.

Oczy młodego Indianina zabłysły z radości. W głębi serca pragnął on bardzo, aby reszta wywiadowców nie wróciła do rana i by mógł udać się na wyprawę jako jedyny towarzysz Paehaska.

Dzień minął spokojnie i zapadł już wieczór. Było parno i gorąco, jak zwykle latem w południowych okolicach Stanów Zjednoczonych. Wszyscy mieszkańcy hotelu spali na dachu, na którym umieszczono namioty.

Nasi przyjaciele spali pod dwoma wielkimi namiotami, pod którymi umieszczono ich łóżka. Każde łóżko zaopatrzono było w siatkę przeciw moskitom, które w tych okolicach gryzą niemiłosiernie. Było

WESOŁE PRZYGODY

(w świecie zwierząt i ptaków)

w postaci licznych filmów rysunkowych,
zawartych w pięknym, gustownym albumie

SAJ NAJMIŁSZYM UPOMINKIEM
DLA MŁODZIEŻY.

DO NABYCIA WSZĘDZ E. — CENA 30 GR.

około dziewiątej, gdy Buffalo Bill i Mały Lampart ułożyli się do snu.

Po kilku minutach zjawili się Nick i Hickock.

— Już w łóżku? — zdziwił się stary wywiadowca. — Przecież dopiero dziewiąta.

— Jutro musimy wcześniej wstać, Nick, — rzekł Buffalo Bill. — Będziemy mieli dużo roboty. Jutro skoro świt ruszamy w drogę.

— Do stu tysięcy grzechotników! — zawołał Nick. — Nareszcie jakaś rozrywka!... Myślałem, że już nigdy nie będziemy mieli nic do roboty.

— O co chodzi, Buffalo? — zapytał Dzikie Bill, wyciągając się na posłaniu.

— Mam do spełnienia pewną misję z polecenia gubernatora.

— Powiedz dokładnie o co chodzi, Buffalo — zawołał Nick Wharton.

— Naszym zadaniem jest wykrycie bandy Apaczów.

— Nareszcie jakaś poważna sprawa! — zawołał z radością Nick. — Dotychczas mieliśmy do czynienia tylko z tymi brudnymi „greasers“ (Meksykańkami)! Mam ich już dość. Indianie, to zupełnie inna sprawa.

— Masz słuszość, Nick — rzekł Dzikie Bill. — Al, ale... co to za banda? Czy jest liczna? A gdzie znajduje się jej kryjówka?

Buffalo Bill zniżył głos i podzielił się z towarzyszami swymi wiadomościami.

— Hurra! — zawołał Nick. — Mam nadzieję, że nie będziemy się nudzić jutro!...

— Ten Indianin, który chciał zabić gubernatora, to straszny dureń — rzekł Dzikie Bill po chwili namysłu. — Czy przypuszczał on, że nikt go nie zauważy, gdy wejdzie w biały dzień przez okno do gabinetu gubernatora?

— Ten Indianin to tylko narzędzie w ręku złooczyńców — rzekł Buffalo Bill.

— W takim razie herszt bandy jest również ośłem — zakonkludował Hickock.

— Nie jestem pewny, — odparł Buffalo Bill.

— W każdym razie musimy załatwić się z tą bandą — rzekł stanowczo Nick Wharton.

— Ślady na ubraniu jeńca wskazują, że przybył on z Adobe Wells — rzekł Buffalo Bill. — Nie wiemy, czy banda się tam zatrzymała, czy też Indianin przybył z innej miejscowości i zatrzymał się tam tylko dla odpoczynku. W każdym razie szeryf utrzymuje, że plamy od błota, wykryte na spodniach Apacza, pochodzą bez wątpienia z Adobe Wells.

— Hm... — mruknął Dzikie Bill. — Z tego wszystkiego wynika jeszcze jeden wniosek. Jeśli banda posiada wszędzie informatorów, ci mogą dowiedzieć się również o naszej planowanej wyprawie.

— W każdym razie ruszamy w drogę — rzekł Nick.

— Ci Apacze musieli przybyć z jednego z rezerwatów — zauważył Buffalo Bill. — Opuścili oni swoje siedziby bez pozwolenia władz. Jestem ciekaw, kto odważył się stanąć na czele tej bandy. Czy nie nasuwa ci się żadna myśl, Hickock?

— Może Kid?

— Nie. Ten jest na to za głupi.

— Może więc Maloney — rzekł Hickock. — Chociaż, to jest mało prawdopodobne. Najpewniej nikt z nas nie zna tego tajemniczego osobnika. Zobaczymy zresztą...

— Mnie bardzo się podoba plan gubernatora — uśmiechnął się do swych myśli Nick Wharton. — Pomyślcie tylko, chłopcy... Wybralibyśmy się w drogę jako panowie z pełnymi kiesami, a gdy bandyci napadliby nas, wtedy dopiero za rewolwery...

— Tak, tak... — mruknął Dzikie Bill. — Nick marzy tylko o bijatyce...

— Kto to mówi! — zawołał Wharton. — Zdaje się, że nasz Hickock powinien się nazywać nie Dzikie Bill, lecz Łagodny Bill, albo...

Nagle Hickock zaklął i wyskoczył z łóżka. Ruchy Dzikiego Billa były tak gwałtowne, że stolik nocny przewrócił się, a lichtarz wraz ze świecą pofruwał wprost na Nicka. Nick na szczęście siedział jeszcze na łóżku i w porę chwycił płonąca świecę.

Wśród namiotów, ustawionych na dachu hotelu, powstał nieopisany zamęt. Wszyscy krzyczeli jednocześnie, a nikt nie wiedział o co chodzi i co się stało. Buffalo Bill wyskoczył z łóżka i zawołał na cały głos, usiłując przekrzyknąć resztę:

— Hallo, Hickock!...

— Szpiegl!... — wrzasnął Hickock, walcząc zapamiętale ze swą siatką na moskity w którą się bezradziejnie zaplatał.

Walka ta skończyła się niefortunnie. Dzikie Bill tak się rzucał, że słupy, podtrzymujące namiot, zerwały się i wszyscy wywiadowcy zostali przykryci płótnem namiotu.

Dzikie Bill wydostał się jakoś i pognał przed siebie z szybkością strzały, ale Buffalo Bill, Nick i Mały Lampart szamotali się bezskutecznie. Wreszcie Nickowi udało się wydostać z fatalnej sieci, a po chwili spod płótna ukazał się również Buffalo Bill.

— Gdzie jesteś, Bill? — zawołał Nick Wharton, nie mogąc zorientować się jeszcze w sytuacji.

— Tutaj... — rzekł Buffalo Bill. — Ale dokąd pobiegł Hickock?...

— Tu jestem! — ryknął Dzikie Bill. — Za mna, chłopcy!... Szpieg ucieka przez dachy!...

Kierując się za głosem Dzikiego Billa wywiadowcy pedzili co tchu przez dachy ku oburzeniu przeciwnych mieszkańców Phoenix, którym przeszkadzały krzyki i tupot nóg nad ich głowami.

Ze wszystkich okien i namiotów, ustawionych na dachach, wysuwały się głowy ciekawych. Zawsza słyhać było okrzyki zdumienia i przerażenia. Gonitwa na dachach!... Tego całe miasto Phoenix nigdy jeszcze nie widziało.

Smutna przygoda starego Nicka

Aby dostać się na dachy sąsiednich budynków, należało wykonać karkołomny skok, gdyż okoliczne budynki były prawie wszystkie jednopiętrowe. Człowiek, którego ścigał Dzikie Bill, umknął poprzez dachy w kierunku zachodnim, a wywiadowcy popędzili za nim.

Gdy Buffalo Bill i Nick znaleźli się na krawędzi dachu, usłyszeli loskot spadającego ciała, a w chwili potem doszedł ich głos Hickocka:

— Ten drań ukrył się między kominami!... Za nimi, chłopcy i pamiętajcie...

Reszty słów Hickocka nie można było już dosłyszeć, gdyż Dziki Bill był już daleko. Buffalo pochylł się nad sąsiednim dachem, zbadał wzrokiem odległość i śmiało skoczył w dół. Stary Nick poszedł w jego ślady... i od tej chwili zaczęło się pasmo jego udrek.

Na dachu sąsiedniego domu znajdowała się wielka kadź, wypełniona wodą, służąca jako rezerwuuar na wypadek pożaru. Nick skoczył śmiało na głębokość kilkunastu stóp i wpadł po uszy w kadź.

Buffalo Bill usłyszał nagle plusk i jakieś dziwne odgłosy, które zupełnie nie przypominały głosu ludzkiego. Cody zrozumiał, że Wharton natknął się na jakąś przeszkodę, ale ponieważ Hickock nawoływał go z daleka, nie zatrzymał się, lecz pobiegł czym prędzej dalej.

Tymczasem Nick usiłował wydobyć się z matni. Po długich trudach udało mu się wreszcie chwycić za brzeg kadzi i wydostać się na dach. Ociekał cały wodą, pozostawiał za sobą mokre ślady a kłął, jak stary marynarz.

Mały strumyk wody, ściekającej z biednego Nicka, popłynął rażno po dachu i zaczął spadać na ulicę, na której o tej porze było jeszcze sporo ludzi. Przed wystawą stali właśnie jakiś Meksykanczyk i Chińczyk, który niósł czystą bieliznę z pralni. Nagle na obu ludzi poczęła cienkim strumykiem kapać woda.

Nie wiadomo dlaczego każdy z nich był przekonany, że to właśnie sąsiad płata mu złośliwego figla. Jeszcze chwila i na ulicy wybuchła istna wojna chińsko-meksykańska, podczas której kelnierzyki i koszule fruwały w powietrzu ku uciesze gawiedzi.

Zostawmy jednak Chińczyka i Meksykanina ich losowi, aż do przybycia policjanta, który ich uspokoił, i zajmijmy się naszym starym przyjacielem Nickiem. Po wyjściu z kadzi stary wywiadowca nie bardzo wiedział, co się z nim właściwie dzieje. Wytarł wodę z twarzy i zaczął biec szybko poprzez dach, gdyż chciał za wszelką cenę dopędzić Codyego.

Ponieważ biegł na ślepo, wpadł z impetem na jakiś namiot stojący na dachu i, przewróciwszy wszystko do góry nogami, wpadł wprost do łóżka spokojnie śpiącego obywatela.

— Trzymać złodzieja! — zawołał ten i ruszył w pościg za Nickiem, który pędził teraz, jakby mu skrzydła u nóg wyrosły.

Po drodze wpadł na jeszcze jeden namiot, potknął się i przewrócił wraz z łóżkiem, namiotem i nocnym stolikiem. Na dachu powstało niebывale zamieszanie. Jakiś grubas wy dobył trzęsącą się ręką rewolwer i dał ognia, ale sam był taki przerażony, że strzelił w powietrze, nie wyrządzając na szczęście nikomu krzywdy.

Tymczasem Nick rzucił całe łóżko w głowy swych napastników, wygramolił się spod namiotu i znów pobiegł naprzód, wrzeszcząc na cały głos:

— Buffalo!... Hickock!...

— Tutaj, Nick... — odezwał się z daleka głos Buffaló Billa.

Nick rzucił się w kierunku, z którego dochodziły go odgłosy przyjaciół, ale i tym razem nie miał szczęścia. Nagle poczuł, że traci grunt pod nogami i zjeżdża w dół po równal pochyłal. Biedny Wharton

natrafił na okno, wychodzące na dach i znalazł się po chwili w jakimś ciemnym pokoju.

Zerwał się natychmiast na równe nogi klnąc na czym świat stoi. W ciemności roziegł się przeraźliwy krzyk i po chwili zapłonęła lampa, w której światło Nick spostrzegł, że stoi przed majestatyczną starszą damą w szlafroku, która na widok wywiadowcy, poczęła wrzeszczeć jakby ją obdzierano ze skóry.

— Niech się pani uspokoi... — usiłował wykrztusić Nick.

— Ach, ach, ach!... — krzyczała dama. — Precz Precz stąd natychmiast!...

— Z największą przyjemnością, — rzekł z galanterią Nick. — Ale gdzie są drzwi?...

— Na pomoc!... Bandyci!... — wrzeszczała dama.

— Ależ...

— Policja!... Na pomoc!...

— Ale drzwi...

— Ratunku!... Mordują!...

— Ale ja...

— Ach!... Bandyci!...

— Proszę pa...

— Zabijają mnie!...

— Niech pani podniesie lampę i przyjrzy mi się! — wybuchnął Nick z wściekłością. — Więc pani twierdzi, że ja jestem bandytą?!...

— Ach, ach, ach!... — jęczała przerażona dama.

Nick znalazł wreszcie drzwi, ale okazało się, że są one zamknięte na klucz.

— Nie mam pieniędzy... — jęczała dama. —

Niech pan mnie nie zabija!... Ach, bandyta!...

— Ale ja nie jestem włamywaczem!... — usiłował tłumaczyć się Wharton. — Do stu tysięcy grzechotników!...

— Pan sam jest grzechotnikiem! — zawołała dostojna przedstawicielka płci pięknej w nagłym przydźwięwie energii. — Co tu pan robi?

— Szukam drogi — odparł Nick spokojnie.

— Będzie się pan tłumaczył przed policją!

— To jest pułapka!... — zawył Nick z wściekłością.

— Pułapka!... — powtórzyła dama i opadła na krzesło.

— Nie otwieraj, Kunegundo! — rozległ się zza drzwi męski głos. — Szeryf już nadchodzi.

Po chwili drzwi zostały otwarte i do pokoju wpadł szeryf, który na widok Nicka rozdziawił usta jak wrota.

— Ależ to Nick Wharton! — zawołał.

— We własnej osobie — rzekł z rezygnacją stary wywiadowca.

— On mnie chciał zamordować!... — wrzeszczała dama. — Niech go pan aresztuje... To jest niebezpieczny bandyta!...

— Pan tu wpadł przez okno? — zapytał Mac Gillicuddy, usiłując utrzymać powagę.

— Tak... — zaczął Nick, ale dama przerwała mu okrzykiem:

— Do więzienia, do więzienia!...

— Powiesić go!... — zagrzmiął człowiek z rewolwerem, którego głowa pojawiła się w oknie.

Szeryf i Nick opuścili pokój przy akompaniamencie wrzasków i jęków damy.

Niepowodzenie

Pościg za szpiegiem zakończył się zupełnym fiaskiem. Buffalo Bill i Hickock nie mogli natrafić na ślad zbiega, który zniknął w ciemności, pomiędzy

Maciami i kominami. Wywiadowcy zmieniali kilkakrotnie kierunek, ale zbiega nie było nigdzie widać.
— Nie mamy szczęścia, Buffalo... — mruknął ponuro Dziki Bill. — Nie mamy tu co robić. Wracamy do hotelu.

— Wyglądamy teraz jak uciekinierzy z domu wariatów... — dodał Buffalo Bill.

— Gdybyśmy tylko schwytali tego przekłętą szpiega, nic by mnie nie obchodziło... — rzekł ponuro Hickock.

— Czy jesteś zupełnie pewny, że to był szpieg?

— Wystarczy, że widziałem jakiegoś draba, który uchylał płótno naszego namiotu, aby lepiej słyszeć naszą rozmowę.

— Usłyszał chyba wszystko — rzekł Cody. — Wielka szkoda...

— Nie mamy szczęścia... — powtórzył ponuro Dziki Bill.

Gdy obaj wywiadowcy wrócili na dach hotelu, wyszedł im na spotkanie Mały Lampart.

— Czy złapaliście go? — zapytał.

— A ty gdzie byłeś, Lamparcie? — zagadnął Buffalo Bill.

— Tak... — mruknął Hickock. — Dlaczego nie pobiegłeś za nami?

— Nie mogłem wydostać się spod namiotu, a potem było już za późno — odparł Indianin. — Zostałem więc i doprowadziłem namiot do porządku.

— A gdzie Nick? — zapytał Buffalo Bill, wyciągając się na łóżku i rozpościerając siatkę przeciw moskitom.

— Jestem, jestem!... — odezwał się nagle gniewny głos starego wywiadowcy.

Po chwili oczom wywiadowców ukazał się stary Nick, z którego wciąż jeszcze ściekała woda.

— Gdzieś się tak zmoczył? — zawołał ze zdumieniem Hickock.

— W wodzie... — odburknął Nick. — Nigdy w życiu nie nurkowałem jeszcze tak, jak dziś...

Powoli Nick rozchmurzył się i opowiedział przy Jaciolom o swoich dziwnych przygodach. Buffalo Bill i Hickock wstrzymywali śmiech, ale w końcu opanowała ich taka wesołość, że poczęli śmiać się do rozpuku.

— No, dość tego — rzekł wreszcie Nick. — A gdzie jest szpieg?

— Uciekł — rzekł Buffalo Bill.

— Uciekł... — powtórzył Nick z powątpiewaniem. — Wydaje mi się, że ten szpieg istniał tylko w bujnej wyobraźni naszego druha Hickocka.

— Widziałem go na własne oczy! — zaprotestował Dziki Bill. — Nie mogłem go jednak schwycić, gdyż po kilku minutach zniknął mi zupełnie z oczu.

— W każdym razie udamy się jutro do Adobe Wells. — oświadczył Buffalo Bill.

— Nie wiem w jakim celu — mruknął sceptycznie Nick. — Jeżeli ten biały drań, który stoi na czele Apaczów, nie jest pełnym durniem, wyniesie się stamtąd jeszcze dzisiejszej nocy. Ten szpieg doniesie mu o wszystkim.

— Ładnie zaczęliśmy pracę... — mruknął Hickock

— Nie przesadzajmy — rzekł Buffalo Bill. — Do Adobe Wells jest dość daleko i szpieg nie będzie mógł do rana zawiadomić swego herszta o naszych zamiarach. Na naszych koniach możemy z łatwością prześcignąć bandytę.

— Powinniśmy więc wyjechać natychmiast — zauważył Dziki Bill.

— Zaczekamy do świtu — rzekł Buffalo Bill. — Zbyt ni pośpiech mógłby nam tylko zaszkodzić.

— Czy czekamy na barona? — zapytał Nick Wharton, który odzyskał już dawny spokój.

— Jeśli przybędzie przed świtem, pojedzie z nami, — rzekł Cody. — Jeśli zaś nie stawi się zostawimy mu kilka słów i będzie mógł pojechać w nasze ślady, jeśli będzie uważał za stosowne.

— Będzie wściekły, jeśli mu uciekniemy sprzed nosa — rzekł Nick.

— Ale pojedzie za nami — zakończył Hickock. Minęła długa chwila ciszy.

— Chłopcy! — rzekł nagie Nick. — A może znów jakiś szpieg siedzi obok naszego namiotu i podsłuchuje?...

— Nie ma obawy — rzekł Buffalo Bill.

Po chwili od strony łóżka Nicka dało się słyszeć miarowe i potężne chrapanie.

— Kapiel dobrze na niego podziała... — uśmiechnął się Buffalo Bill. — „Buenos noches muchachos!“ (dobranoc, chłopcy)...

— Buenos noches!... — odparł Hickock.

Adobe Wells

Był upalny dzień i wywiadowcy zmęczeni się bardzo podróżą, to też z radością powitali zachód słońca. Jeszcze większa radość ogarnęła naszych przyjaciół, gdy spostrzegli obok białej od pyłu drogi mały domek, stojący na niewielkim podwyższeniu.

Buffalo Bill, Hickock, Nick i Mały Lampart udali się po opuszczeniu Phoenix do Solomonsville, gdzie przesłuchali rannych górników. Ludzie ci czuli się już nieco lepiej i życiu ich nie zagrażało niebezpieczeństwo. Jeden z nich opowiedział wywiadowcom historię napadu. Głos nieszczęśliwego drżał, gdy mówił:

— Mam już pięćdziesiąt lat, a mój przyjaciel pięćdziesiąt pięć... Pracujemy razem od dwudziestu lat bez chwili wytchnienia. Przez cały ten czas natrafialiśmy tylko na małe i ubogie pokłady złota i z trudem zdobywaliśmy środki utrzymania. Wreszcie znaleźliśmy to, czego szukaliśmy od tylu lat... Prawdziwe „Eldorado“ dla nas biedaków. Zabraliśmy owoce naszej długoletniej pracy w nadziei, że skończą się nasze udręki i będziemy mogli spokojnie żyć w jakimś mieście. A następnego dnia znów byliśmy nędzarzami i do tego bandyci poranili nas straszliwie.

Według sprawozdania rannych górników, zostali oni napadnięci przez kilku rasę Czerwonoskórych, którzy wypadli z jakiejś rozpadliny skalnej i w mgnieniu oka obrabowali ich z całego majątku. Obydwóch rannych znaleziono dopiero na drodze w kilka godzin później i przywieziono ich do Solomonsville do szpitala.

Żaden z górników, których nazwiska brzmiały Hapgood i Grinwell, nie widział wśród Apaczów żadnego białego. Byli oni przekonani, że na czele bandy stoi również Indianin.

Posiadając tak nieznaczące wskazówki nasi przyjaciele ruszyli w dalszą drogę i wreszcie, pod wieczór, znaleźli się przed małym domkiem przy drodze.

— Widzę domek, ale nie widzę Indian... — mruknął Nick, ocierając pot z czoła. — A przecież to jest właśnie Adobe Wells!...

— Nic w tym dziwnego — rzekł Buffalo Bill. — Apacz, który dokonał napadu na gubernatora, mógł

zatrzymać się tu tylko dla odpoczynku. Przybył on zapewne z innych stron.

— A zresztą ta banda nie jest taka głupia, aby urządzać sobie siedzibę na drodze, wiodącej do dwóch fortów — dodał Hickock.

— W każdym razie ta chata może służyć bandytom za schronienie w pewnych wypadkach — zauważył Buffalo Bill. — Zatrzymamy się tu i zapoznamy się z mieszkańcami tego domku.

— Zgoda — rzekł Dziki Bill.

Wywiadowcy przebyli mały strumyk, płynący ze studni. Nick wziął garść błota i pokazał Buffalo Billowi.

— Patrz, Cody — rzekł. — To samo błoto, którym poplamiał sobie odzież nasz Indianin...

Gdy wywiadowcy zbliżyli się do chaty, drzwi otworzyły się i stanęła w nich młoda dziewczyna, która przypatrywała się uważnie przybyszom.

— Hm!... — mruknął Nick. — Ta seniorita wcale nie wygląda na dowódcę „desperados”.

— Nie bądź taki pewny, Nick, — rzekł Buffalo Bill.

Dziewczyna zbliżyła się z uśmiechem do wywiadowców.

— Czy możemy tu spędzić noc, seniorita? — zapytał grzecznie po hiszpańsku Cody.

— Si, — rzekła dziewczyna i ciągnęła dalej czystą angielszczyzną: — Dwa dolary za stajnię i paszę dla koni i cztery dolary od osoby za nocleg i wieczerze. Trudno, senore, to nasze jedyne źródło utrzymania.

— Niech się pani nie martwi — rzekł Buffalo Bill. — Zapłacimy za wszystko. Czy pani tu mieszka z ojcem?

— Tak. Mieszkamy tu zupełnie sami na tyfus odludziu. Czy panowie przybywają z fortu Thomas?

— Nie. Przyjeżdżamy z Solomonsville.

— Czy jedziecie do fortu Grand?

— Może...

— Bueno! Tu często zajeżdżają różni podróżnicy. Zaprowadźcie konie do zagrody. Wieczerza będzie rychło gotowa.

Wywiadowcy umieścili konie w zagrodzie i dali im pić.

— Nie widzę tu nic podejrzanego — rzekł Dziki Bill.

— Dom wydaje się zupełnie spokojny — przyświadczył Buffalo Bill.

— A to co takiego? — zapytał nagle ze zdumieniem Nick, podnosząc z ziemi jakiś przedmiot.

Był to oszczep, w którym Cody rozpoznał natychmiast broń, używaną zwykle przez Apaczów. Oszczep był bardzo długi i posiadał ostro zakończony, metalowy koniec.

— Ocho!... — rzekł Dziki Bill. — Tego się tu nie spodziewałem. Spójrz na ostrze, Buffalo. Dam się oskalpować, jeśli nie jest ono zatrute.

Charakterystyczny kolor żelaza świadczył o tym, że zanurzono je w jadzie węzowym.

— Spokojnie, — szepnął nagle Buffalo Bill. — Oto nasz gospodarz.

Stary Meksykanin o twarzy poranej zmarszczkami, zbliżył się do wywiadowców.

— Czy konie mają wszystkiego pod dostatkiem, senores? — zapytał.

— Tak, — odparł Cody.

— Dwa dolary za...

— Znamy już cenę, ojcie — uśmiechnął się wywiadowca. — Jeśli nie ma pan do nas zaufania, możemy zapłacić z góry.

Meksykanin uśmiechnął się i rzekł:

— Nie trzeba. Wejdźcie do chaty, senores. Wieczerza jest już gotowa. Lasca przygotowała wszystko.

— Żyjecie tu sobie spokojnie, prawda? — zagadnął Hickock po drodze. — Apacze nie napastują was?

— Apacze? — rzekł ze złumieniem Meksykanin. — Apacze nie czynią nam żadnej krzywdy. Sądzą oni, że ojciec Gonzales jest wielkim czarownikiem i unikają nas.

— Skąd tu się w takim razie bierze ten oszczep? — zapytał Buffalo Bill spokojnie.

Gonzales spojrzał na broń i uśmiechnął się zagadkowo.

— To jest podarunek Apaczów, — rzekł. — Nie potrzeba mi w domu tego rodzaju sprzętów, więc Lasca wyrzuciła to do zagrody.

— Od jak dawna mieszka tu pan, Gonzales? — zagadnął Buffalo Bill, który nie miał zaufania do starego Meksykanina.

— O, już prawie pół wieku — rzekł starzec.

— To dawno... — mruknął Nick.

— Panowie są „caballeros” — rzekł Meksykanin. — Ale czy można wiedzieć, jak się panowie nazywacie?

Wywiadowcy wymienili swoje nazwiska. Na dźwięk nazwisk Buffalo Billa, Hickocka i Whartona w oczach starca zapalił się na chwile jakiś dziwny blask. W chwilę później dał się słyszeć huk strzału i kula świsnęła tuż koło ucha Buffalo Billa.

Wywiadowcy wyrwali z pasów rewolwery, a Nick skoczył do gardła Meksykaninowi.

— Jesteś czarownikiem dla Apaczów!... — zawołał groźnie Nick. — Ale nie powiedziałeś nam jeszcze czym jesteś dla białych!...

Indianie!...

Wywiadowcy zatrzymali się na chwilę z rewolwerami gotowymi do strzału, ale Buffalo Bill zorientował się natychmiast w sytuacji. Mrugnąwszy porozumiewawczo na Nicka, rzekł:

— Nie unos się, Nick. Zostaw tego pana w spokoju. Nie możesz go przecież posądzać o to, że jest sprawcą zamachu na nas!

— Tak, senores — rzekł płaczliwie Meksykanin. — Tu bardzo często strzelają, ale to przecież nie moja wina. Och, jak mnie pan ścisnął!... Boli mnie teraz kark...

— Niech się pan nie przejmuj. Gonzales, — rzekł uspakajająco Buffalo Bill. — Mój przyjaciel miewa czasem dziwne maniere. Przypuszczam — zwrócił się w stronę swych przyjaciół — że nie możemy dziś wspólnie spożyć kolacji. Nick i Mały Lampart zostaną tu, a ja pójdę z Hickockiem do chaty. Potem was zlużujemy.

— Tu nie ma niebezpieczeństwa... — rzekł uspakajająco Gonzales.

— Prócz tajemniczych kul z ciemności nic nam nie grozi, — rzekł ironicznie wywiadowca.

Buffalo Bill i Hickock wzięli między siebie Gonzalesa i udali się wraz z nim do chaty. Gdy znajdowali się tuż obok domu, Dziki Bill rzucił okiem na dach i zauważył:

— Macie tu dużo czerwonego pieprzu.

— Tak, senior, — rzekł Meksykanin. — Rozłożyliśmy go na dachu, aby się szybciej wysuszył.

Wnętrze chaty podzielone było na trzy części, pomiędzy którymi zawieszono były zasłony. Wy-

wiadowcy bacznie obserwowali wszystkie kąty, ale nie zauważyli nic podejrzanego. Lasca podała do stołu, a stary Meksykanin zachowywał się w dalszym ciągu tak, jakby tajemniczy strzał uważał za coś zupełnie naturalnego.

— Panowie będą spali w chacie. — rzekła Lasca. Ustapijmy wam nasze łóżka.

— Dziękujemy bardzo, — rzekł Buffalo Bill. — Prześpijmy się na świeżym powietrzu.

Cody i Hickock wrócili po wieczery do zagrody i posłali Małego Lamparta i Nicka do chaty.

— Gdyby Lasca zaproponowała nam nocleg w chacie, odmówcie, — poradził im Buffalo Bill.

Dziki Bill zapalił fajkę i rzekł do Codyego:

— Dzisiejszej nocy będzie gorąco.

— Tak, — odparł Buffalo Bill.

— Apacze są napewno w okolicy.

— To nie ulega wątpliwości.

— W każdym razie zostaliśmy ostrzeżeni.

— Nie wolno nam zmrużyć oka tej nocy, Hickock.

— Czy przypuszczasz, Cody, że ten stary i dziewczyna są w porozumieniu z Indianami?

— Mam takie wrażenie...

— W takim razie Lasca doskonale gra swoją rolę.

W pół godziny później Nick i Mały Lampart wrócili do swych towarzyszy do zagrody. Było już zupełnie ciemno. Dokoła małej chatki panowała niepokojąca cisza, a ciemność zdawała się być wypełniona tajemniczymi i groźnymi cieniami.

Wywiadowcy podzielili się na dwie grupy i strzegli wejścia do zagrody. W chacie wszystko umilkło i tylko w pokoju dziewczyny paliło się światło. Lasca siedziała w oknie, grając na gitarze i przyspiewując zcicha.

Wreszcie i dźwięki gitary ucichły. Zapadła zupełna cisza.

W godzinę później wśród okolicznych wzgórz dał się słyszeć jakiś głuchy hałas. Buffalo Bill rzucił się w kierunku palisady i natknął się na Dzikiego Billa.

— Uwaga!... — zawołał Hickock. — Indianie zbliżają się...

— Widziałeś ich?

— Widziałem jednego z nich, który pełzał w naszym kierunku jak wąż. Na mój widok umknął szybko.

— Osiodłać konie! — zakomenderował Cody.

Po chwili wywiadowcy znajdowali się na siódłach.

— Na mój sygnał ruszamy galopem, — rzekł Buffalo Bill. — Jeśli okaże się, że będziemy zmuszeni do ucieczki, skierujemy się w stronę fortu Grand.

Upłynęło pięć długich minut w milczeniu, a potem nagle dziki okrzyk bojowy Apaczów rozdarł cięsz. Kopyta mustangów zadudniły po skałach. Indianie nadjeżdżali ze wszystkich stron.

— Naprzód, chłopcy! — zawołał Buffalo Bill.

Z rewolwerami w ręku czterej jeźdźcy wypadli jak burza z zagrody i rzucili się przeciw napastnikom.

Ucieczka

Buffalo Bill i jego towarzysze otworzyli natychmiast ogień, mierząc w ciemną masę napastników. Sylwetki jeźdźców znikły nagle tak samo szybko, jak się pojawiły.

— Może zabarykadujemy się w chacie?... — zapytał Nick.

— Nie. Musimy walczyć w dalszym ciągu konno! — zawołał Cody.

W tej samej chwili, jakby na potwierdzenie słów wywiadowcy, z okien chaty posypały się strzały.

— Ten stary i dziewczyna włożą nam w drogę! — zawołał Buffalo Bill.

— Dokąd jedziemy? — zapytał Hickock.

— Musimy wydostać się stąd na drogę.

Czterech jeźdźców spięło konie i ruszyło w stronę drogi, ale na drodze pojawiła się znów grupa napastników.

— Do stu tysięcy grzechotników! — zawołał Nick.

— Czy jesteś ranny? — zapytał Buffalo Bill.

— Lekkie skaleczenie...

— Na zachód! — zakomenderował Cody.

Ale i od zachodu pojawił się oddział Indian, przecinając wywiadowcom drogę. Wierzchowce naszych przyjaciół były jednak znacznie szybsze od koni indyjskich i niebawem wywiadowcy znaleźli się na drodze.

Tu czekała ich nowa niespodzianka, gdyż Indianie otoczyli chatę ze wszystkich stron i rzucali się na wywiadowców, gdy ci tylko usiłowali wydostać się z ich kręgu. W ciemności Apacze nie strzelali, gdyż obawiali się, że trafią swych współbraci.

Rozpoczęła się więc walka na białą broń. Słychać było krzyki walczących i szcęk żelaza.

— Niech każdy ucieka w inną stronę! — zawołał Buffalo Bill.

Cody pierwszy rzucił się na grupę wojowników i rozpoczął bohaterską walkę. Dziki Bill, Nick i Wharton i Mały Lampart walczyli w innych punktach. Wreszcie Buffalo Billowi udało się przedrzeć przez Indian. Spiął konia i pomknął jak wicher wzdłuż drogi.

— Buffalo!... — rozległ się w oddali głos starego Nicka.

— Jęde za tobą!...

— Szybko w góry!... Dziki Bill i Lampart również się przedarli...

Buffalo Bill pochylił się na końskim grzbiecie, a za nim słychać było wciąż przeraźliwe wrzaski Apaczów. Teraz dopiero, gdy wiedział, że i jego towarzysze są bezpieczni, Buffalo Bill począł się zastanawiać nad tajemniczym napadem.

Zdumiewała go przede wszystkim wielka liczba Indian, którzy pojawiali się równocześnie ze wszystkich stron. Apacze ścigali go przez pewien czas, ale niebawem odgłosy pościgu umilkły w oddali.

Okrzyk Nicka upewnił Buffalo Billa, że wszyscy wywiadowcy są bezpieczni. Nie natknął się jednak na żadnego ze swych przyjaciół. Przypuszczał, że pojechali oni naprzecią innymi drogami i był zupełnie spokojny o ich los.

Cody jechał całą noc, aż do świtu. Gdy na niebie ukazały się pierwsze blaski dnia, zatrzymał konia w cieniu skały i pozwolił wierzchowcowi wytchnąć nieco po całonocnej galopadzie.

Gdy słońce ukazało się na horyzoncie Buffalo Bill postanowił ruszyć w dalszą drogę. Dosiadł konia i powoli począł posuwać się między skałami. Unikał drogi i miejsc otwartych, gdyż obawiał się, że może natknąć się niespodzianie na Indian.

Nagle wyostrzony słuch wywiadowcy pochwycił jakiś podejrzaną odgłos. Natychmiast zeskokczył

z konia, zaczął się za skałą i zaczął obserwować okolice. Słuch nie mylił wywiadowcy. W odległości kilkudziesięciu metrów posuwał się wzdłuż drogi jakiś Indianin na koniu.

Apacz miał karabin przewieszony przez szyję, a prawe ramie miał na temblaku.

— Ma pamiątkę po wczorajszej bitwie... — pomyślał Cody. — Może poszukuje mnie?... W takim razie trzeba mu pomóc w poszukiwaniach.

Ale Apacz miał widocznie inne zmartwienia niż poszukiwanie wywiadowców. Rozglądał się na wszystkie strony, jakby obawiał się, że ktoś może go zobaczyć. Buffalo Billowi wpadło na myśl, że Indianin może być wysłańcem, którego zadaniem jest doniesienie hersztowi bandy o nocnej walce.

— Trzeba go śledzić... — pomyślał Buffalo Bill. — Może to się opłaci!...

Gdy Indianin oddalił się nieco, Buffalo Bill dosiadł konia i ruszył w jego ślady.

Cenna zdobycz

Po wydarzeniach ostatniej nocy Buffalo Bill był przekonany, że na czele Indian stoją biali zdrajcy. Apacze sami nie byłiby zdolni do tak przemyślanej akcji. Pozostawało jednak zagadka, czy bandyta sam brał udział w ataku, czy też kierował operacjami z bezpiecznego ukrycia.

Gdyby Apacze działali na własną rękę, nie oszczędzaliby swych ofiar, a więc, z ich postępowania wynikało, że białe wódz trzyma ich w korbach żelaznej dyscypliny i podporządkowuje ich swym własnym celom.

Takie myśli snuły się po głowie Codyego, gdy posuwał się trop w trop za Indianinem. Apacz posuwał się ostrożnie, ale żwawo i dotarł wkrótce do płaszczyny, pokrytej kaktusami, które w tym miejscu tworzyły jakby mały laszek.

Wywiadowca ukrył się wraz z koniem za skałą i obserwował Indianina. Ten zbliżył się do wielkiego krzaka kaktusowego, który był znacznie grubszy i wyższy od innych krzewów. Dziki zeskokczył z konia i stanął obok krzaka.

Pochylił się i po chwili otworzył w pniu rośliny skrytkę, zanurzył w niej ramię i wydobył płócienny worek, bardzo ciężki, jak się wydawało. Buffalo Bill zrozumiał więc, że Indianin nie jest wysłańcem do wodza. Cóż jednak zawierał ów ciężki worek?

Buffalo Bill zamierzał właśnie wyjaśnić tę tajemnicę i dosiadł konia, gdy nagle z pośród kaktusów rozległ się strzał, któremu odpowiedział przeraźliwy okrzyk Indianina. Apacz jednym skokiem znalazł się na siodle i popędził przez drogę, pozostawiając worek pod kaktusem.

Ku swemu wielkiemu zdumieniu Buffalo Bill spostrzegł obok worka Dzikiego Billa, który najspokojniej w świecie zsiadł z konia, Indianin dał ognia w kierunku wywiadowcy, ale Hickock skoczył na konia i puścił się w pościg za Apaczem.

Buffalo Bill zbliżył się teraz spokojnie do porzuczonego worka. Zajrzał do otworu w pniu kaktusa i przekonał się, że znajduje się tam jeszcze jeden worek. Na obu workach widniał napis: „Juan Francisco“.

— Juan Francisco? — zastanowił się Cody. — Czyżby to było nazwisko tego bandyty?...

Wywiadowca otworzył worki, zanurzył w jednym z nich rękę i natrafił na monety.

— Dolary!... — mruknął ze zdziwieniem.

Tymczasem nadjechał Dziki Bill.

— Cody! — zawołał ze zdumieniem.

— Hickock!...

— Jakim prawem przetrzasasz moje worki z pieniędzmi? — zawołał z uśmiechem Dziki Bill.

— A gdzie podział się twój Apacz?...

— Uciekł, — odparł Hickock. — Skrył się gdzieś między skałami, a ja nie miałem zamiaru gonić go dalej. Piłno mi było do mojej zdobyczy.

— Wydaje mi się, że pieniądze te należą do bogatego Meksykanina, o którym mówił gubernator, — rzekł po chwili namysłu Buffalo Bill.

— Tak, to bardzo możliwe...

— Czy masz jakieś wiadomości o Nicku i Małym Lamparcie? — zapytał Cody.

— Nie. Zniknęli mi z oczu jeszcze w nocy, ale mam wrażenie, że nic im się nie stało.

— Słyszałem okrzyk Nicka i jestem pewny, że powinien tu być w okolicy, — rzekł Buffalo Bill.

— Dziwi mnie tylko, skąd w tej okolicy bierze się taka armia Apaczów, — rzekł Dziki Bill. — Gubernator wcale o tym nie wie i władze wogóle nie mają pojęcia o tym, że na odcinku między fortami Grand i Thomas roi się od Czerwonoskórych.

— Gubernator był źle poinformowany, — rzekł spokojnie Cody. — Ale przede wszystkim ważne jest to, że wyszliśmy cało z tej walki.

Obaj wywiadowcy zbliżyli się jeszcze raz do kaktusa i Buffalo Bill rzekł:

— Może w tej kryjówce znajduje się jeszcze coś. Trzeba ją dokładnie przeszukać.

Dziki Bill zaczął przetrząsać dziuplę w pniu kaktusa i wydobył z niej jeszcze dwa worki, pełne monet.

— Gubernator był źle poinformowany, — rzekł Buffalo Bill. — Nie wolno nam tu zostawać, gdyż ten Apacz napewno zawiadomi o wszystkim swych towarzyszy, a przede wszystkim swego białego wodza, który jest lotrem spod ciemnej gwiazdy.

— Ach!... — westchnął Hickock. — Gdybyśmy tu mieli pod ręką jakiś mały oddział regularnego wojska...

— Bedziemy mieli pomoc wojskowa, — rzekł spokojnie Buffalo Bill. — W drogę do fortu Grand, Hickock!...

Worki z pieniędzmi zostały przymocowane do siodła wywiadowców i Buffalo Bill i Hickock ruszyli dobrym klusem w kierunku fortu Grand.

Boston Jack

— Lasca i Gonzales są niewatpliwie w zмовie z Apaczami, — rzekł po chwili Hickock. — Ich chata jest baza Indian, a dowódca bandy musi napewno żyć w przyjaźni z tymi ludźmi. Zasadzka była urządzona wspaniale i mieliśmy wiele szczęścia, że udało nam się wymknąć z rąk Indian.

— W każdym razie musimy schwytać herszta bandy, — rzekł Buffalo Bill. — Tylko w ten sposób położymy kres działalności bandy.

— Oczywiście, ale...

Nagle obaj wywiadowcy ściągnęli wodze i zatrzymali konie. W oddali rozległ się słaby dźwięk trąbki, wygrywającej dziarską pobudkę.

— Żołnierze!... — zawołał Buffalo Bill z radością.

— Zjawili się w samą porę, — zauważył Hickock.

Wywiadowcy popędzili galopem w stronę zbli-

żających się żołnierzy i niebawem widzieli cały oddział jak na dłoni.

— Zdaje się, że mają przewodnika. — rzekł Buffalo Bill. — Widzę między nimi jakiegoś cywila.

— I jeszcze jakiego!... — dodał Hickock.

Człowiek, o którym była mowa, był to drab potężnego wzrostu, o barach jak niedźwiedź, siedzący na wielkim i silnym koniu.

— Wygląda, jak urodzony zabijaka. — zauważył Cody.

Gdy kapitan, stojący na czele żołnierzy, spostrzegł zbliżających się jeźdźców, zatrzymał oddział i zawołał:

— Hej, co tam robicie?...

— Przybyliśmy na wywiad, kapitanie!.. — odpowiedział Buffalo Bill.

— Coście za jedni?...

— Cody i Hickock, zwany Dzikim Billem!...

Kapitan spał konia i zbliżył się galopem do wywiadowców. Uścisnął im serdecznie dłonie i powitał ich wylewnie.

— Czy dowiedział się pan już, kapitanie, o nocnej przeprawie w Adobe Wells? — zapytał Cody.

— Tak, — odparł oficer. — Jakiś człowiek przybył do fortu i zawiadomił nas o tajemniczej strzelaninie w tej okolicy. Pułkownik wysłał mnie natychmiast w te strony. Czy może mi pan udzielić dalszych wskazówek, Buffalo Bill?

— Owszem, — wtrącił się Hickock. — Braliśmy w tym udział... —

— Jakto? — zdziwił się kapitan Doubleday.

— Nasz oddział, złożony z czterech ludzi, walczył z Apaczami.

— A to dopiero!... — zawołał kapitan.

Buffalo Bill zapoznał go pokrótce z przebiegiem wypadków.

— Więc straciliście teraz z oczu waszych dwóch towarzyszy? — zapytał Doubleday.

— Tak, niestety... — rzekł Cody.

— Czy mamy ruszyć na ich poszukiwania, czy przede wszystkim zakończymy sprawę z banda Czerwonoskórych?

— Na Indian, kapitanie! — zawołał bez wahania Buffalo Bill. — Moi towarzysze dadzą sobie sami radę. Nauczyłem ich tego. Kim jest jednak ten człowiek, który wasu tu przyprowadził?

— Spotkaliśmy go na drodze i ofiarował się nam jako przewodnik. — odparł oficer. — Zna dobrze te strony.

— Gubernator wyznaczył nagrodę za ujęcie dowódcy Indian, — mruknął olbrzym.

— I pan chce ją zdobyć? — zapytał Hickock.

— Pracuję tylko dla siebie. — mruknął ponuro Arab.

— Co pan powie? — rzekł z udanym zdziwieniem Dzikie Bill, któremu nie podobał się ten człowiek. — A jak się pan nazywa, jeśli można wiedzieć?

— Boston Jack, — zagrzmał olbrzym. — Nie słyszeliście nigdy o mnie?...

— Nie przypominam sobie, — odparł zimno Dzikie Bill.

Buffalo Bill oddalił się nieco z kapitanem Doubleday i zapytał:

— Gdzie pan spotkał tego człowieka?

— W odległości około dwunastu mil stąd.

— Czy wiedział wszystko o nocnej walce?

Olbrzym, który usłyszał ostatnie zdanie, wtrącił się do rozmowy.

— Ta walka nie obchodziła mnie wcale, — rzekł swym głębokim basem. — Uczyniłem pewne odkrycie i dlatego chciałem nawet udać się do fortu, aby zawiadomić o tym władze.

— Co to za odkrycie? — zapytał Hickock.

— Znalazłem skład broni, — rzekł olbrzym. — Wiem również, gdzie znajduje się miejsce ukrycia Apaczów. Jeśli je wskażę kapitanowi, otrzymam na pewno nagrodę i z nikim się nie podzielę.

— Dobrze, dobrze, Jack — rzekł kapitan. — Pokaż mi pan wszystko, ale na razie udamy się do Adobe Wells i tam spędzimy noc.

Trąbka zagrała raźną pobudkę i oddział ruszył w stronę Adobe Wells.

Amator czerwonego pieprzu

Gdy Buffalo Bill opowiedział kapitanowi o swych przygodach, nie wspomniawszy ani słowem o pieniądzach znalezionych w skrytce, w lasku kaktusowym. Wywiadowca nie dowierzał Boston Jackowi i nie chciał przy nim mówić o pieniądzech.

Ale olbrzym spostrzegł tajemnicze worki, zawieszona u siodła naszych przyjaciół i zapytał Hickocka:

— Co pan tam ma?

— Bryłki kruszcu — odparł spokojnie Dzikie Bill.

— Chyba z bardzo bogatych złóż? — mruknął olbrzym. — Mają dźwięk, jak czyste złoto...

Na tym rozmowa urwała się, gdy Hickock nie miał zamiaru jej kontynuować. Pi kilku godzinach oddział znalazł się przed chatą w Adobe Wells. Lasca siedziała na progu i na widok wojska zawołała na kogoś w chacie.

Ku zdziwieniu Buffalo Billa z chaty wyszli Nick i Mały Lampart.

Podczas gdy żołnierze zajęli się swymi końmi, nasi przyjaciele pograżyli się w rozmowie.

— Wróciłem tu z Lampartem, ponieważ Indianie zniknęli — rzekł Wharton. — A poza tym odkryliśmy coś bardzo ciekawego. W odległości zaledwie jednej mili stąd znajduje się między skałami naturalna zagroda, w której jest kilkaset pięknych koni. Gotów jestem przysiąc, że są to konie, skradzione przez Apaczów z rancho w Mount Turnbull.

— Czy są tam Indianie? — zapytał Cody.

— Jest tylko pięciu wojowników.

— Dobrze — rzekł Cody. — Pomyślimy o tym. A teraz... Jak przyjęli was mieszkańcy tej chaty?

— Z otwartymi ramionami — rzekł Nick. — Lasca powiedziała mi, że ty i Hickock udaliście się do fortu Grand po posiłki.

— To dziwne — rzekł Buffalo Bill. — Ale ona nie mogła na ten temat nic powiedzieć, gdyż nie wróciliśmy tu i nie rozmawialiśmy z nią.

— Trzeba ją przepytać, — rzekł Hickock.

Gdy wywiadowcy weszli do chaty znaleźli tam już kapitana Doubleday, który również pragnął zasięgnąć informacji od mieszkańców chaty.

Stary Gonzales leżał wygodnie w fotelu i palił cygaro. Na widok wywiadowców i oficera porządku głośno biadał:

— Ach, senores!... Jaka to była straszna noc...

„Ay de mi!“...

— Tak, tak — rzekł Hickock. — A kto strzelał do nas przez okno?

— Ależ ja nie strzelałem!... — zaprotestował stary Meksykanin.

Cody i Hickock przynieśli wraz z sobą worki z cenna zawartością i położyli je w kącie chaty.

— A jednak ktoś strzelał z chaty — rzekł Cody.
— To Apacze... — zapewnił oGonzales. — Ach, wpadli do naszego ubogiego domku i zagrozili nam, że nas zabiją, jeśli będziemy krzyczeli, a potem zaczęli strzelać!...

— Niech się pan tak nie broni, — rzekł z humorem Hickock. — Ten drań, który strzelał z okna, strzelał diabelnie kiepsko.

— Niech pan weźmie Lasce, — rozkazał Buffalo Bill.

Po chwili w pokoju zjawiała się dziewczyna.

— Senores? — zapytała.

— Pani powitała dziś rano naszych przyjaciół?

— Tak.

— Co im pani powiedziała?

— Powiedziałam, że pan i pan Hickock udali się po posiłki do fortu Grand.

— A więc chciała pani zwać Nicka i Lamparta w zasadzkę! Chciała ich pani wydać Apaczom! — zawołał Buffalo Bill.

— Nie, nie!... — zawołała z przekonaniem dziewczyna. — Podслуchałam rozmowę Indian, gdyż znam dobrze ich język... Mówili oni o tym, że panom udało się uciec, a więc byłam pewna, że udacie się po pomoc do fortu. Gdyby Nick i Lampart zostali w górach, Indianie zabiliby ich...

Słowa dziewczyny były zupełnie prawdopodobne. Zanim jednak Buffalo Bill zdołał zastanowić się nad tym, w pokoju zjawiała się jeszcze jedna osoba. Był to Boston Jack.

— Hej, seniorita!... — zawołał. — Może przeszkadzam, ale chodzi mi o sprawę czysto handlową. Ile pani chce za ten pieprz, który się suszy na dachu?

— Pieprz nie rośnie na pustyni — wmieszał się do targu Gonzales. — Da pan dwadzieścia pesos.

— Dam najwyżej pięć... — rzekł Jack.

W chacie targ o pieprz odbywał się w najlepszym a tymczasem żołnierze zasiedli do posiłku. Następni kapitan zamierzał udać się pod przewodnictwem Nicka do miejsca, gdzie znajdowały się ukryte konie, ale Buffalo Bill polecił Małemu Lampartowi poprowadzić żołnierzy, a w chacie pozostali Cody, Dzik Bill, Nick i Boston Jack.

Gdy żołnierze zniknęli za zakrętem drogi, Boston Jack wziął swój work z pieprzem i rzekł:

— Idę do Phoenix, aby odebrać moją nagrodę.

Buffalo Bill zastąpił mu drogę.

— Nie pójdziesz nigdzie przed powrotem kapitana — rzekł spokojnie.

Olbrzym zaklął. Ręka jego sięgnęła po rewolwer, ale w tej samej chwili Dzik Bill podsunął mu lufę swego colta pod nos i zawołał groźnie:

— Stać! Ani kroku dalej i łapy przy sobie!...

Hannibal Augustus na widowni

Boston Jack był wściekły, ale rewolwery wywiadowców trzymały go w szachu.

— Jakim prawem zatrzymujecie mnie? — wrzeszczał.

— To nasza sprawa — rzekł spokojnie Buffalo Bill. — Chcemy, żebyś tu został razem z nami do powrotu żołnierzy.

Nagle Nick zawołał:

— Lasca uciekła!

— Co ona robi? — zapytał Cody.

— Stała na szczycie wzgórza i daje komuś znaki kapeluszem!...

— Wzywa Apaczów — rzekł spokojnie Buffalo Bill. — Teraz musisz zostać, Boston Jack, gdyż na drodze wpadniesz w ręce Apaczów.

— Dam sobie radę... — mruknął ponuro olbrzym.

— Gonzales również uciek!... — zawołał Hickock, który szybko przeszukał dom.

Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie i do izby wpadł jak bomba czerwony i zziębnięty baron.

— Co widzę?! — zawołał. — Więc siedzicie tu sobie spokojnie i to w towarzystwie tego pana, którego... może znam.

— Ale ja pana nie znam! — zawołał ze złością olbrzym.

— Obejrzymy go sobie, — rzekł spokojnie baron i począł bacznie przyglądać się twarzy Boston Jacka.

Jack przeklinał jak poganin, ale baron nie przejmował się tym wcale.

— Gdzie jest pieprz, który suszył się na dachu? — zapytał nagle baron.

— Nie rozumiem... — zaczął Nick, ale baron przerwał.

— To bardzo ważne! Pytam jeszcze raz — gdzie jest pieprz?

— W worku — rzekł Hickock.

Baron zbliżył się do worka, ale Jack wydał groźny pomruk.

— To mój work i nie pozwolę go ruszyć! — ryknął.

— Ten mastodont przeszkadza mi — rzekł spokojnie baron.

— Jeśli się poruszy, strzelać, chłopcy! — rzekł Buffalo Bill.

Wilhelm wyciągnął z worka jeden ze straków i podając go Buffalo Billowi, rzekł:

— Otwórz to, Bill. Tam musi coś być w środku.

Buffalo Bill otworzył strak i wydał okrzyk zdumienia. Wewnątrz ukryta była bryłka złota.

— Tak, tak, Buffalo — rzekł baron. — W tym worku znajduje się złoto, które ten drab zrabował biednym górnikom.

— To kłamstwo!... — zawył Boston Jack.

— Acha! — rzekł Buffalo Bill. — Więc dlatego chciałeś tak bardzo kupić pieprz!... Kim jest ten człowiek, baronie?

— Moim zdaniem — rzekł baron — to jest herszt bandy Apaczów.

— Zabiję! — ryknął Boston Jack.

— Jeszcze chwileczka — rzekł spokojnie baron i wychylił się za drzwi chaty. — Hannibalu!... Hannibalu!...

W drzwiach ukazała się siwa głowa i czarna twarz starego Murzyna.

— Przepraszam, Massa... — wyjąkał Hannibal Jones.

— Kto to jest? — zapytał Cody.

— Hannibal Augustus Mark Antoni Jones... — wyjąkał onieśmielony Murzyn.

Nagle wzrok storca padł na twarz olbrzyma i Jones wydał przeraźliwy okrzyk strachu.

— Massa! Massa! Och chcieć mnie zabić!...

Trzy rewolwery wymierzone zostały w pierś Boston Jacka, gdy stary Murzyn opowiadał o swych przygodach.

— Nie ruszać się. Indianin myśleć, że biedna Murzyn być zabity — zakończył swą opowieść. — Późem szybko pobiec do Phoenix i opowiedzieć wszystko dobremu Massa. On mnie tu przyprowadzić.

— A więc wszystko się wyjaśnia — rzekł Buffalo Bill. — Boston Jack — jesteś aresztowany.

Nagle Nick Wharton, który stał na straży przy oknie, zawołał:

— Baczność, chłopcy!... Indianie nadjeżdżają!...

Dzikie wrzaski Apaczów wypełniły powietrze. Wywiadowcy stanęli przy oknach i poczęli razić nacierających celnym ogniem. Augustus Jones ukrył się w najciemniejszym kącie i trząsł się z przerażenia.

Tymczasem Jack, który zauważył, że wywiadowcy przestali zwracać na niego uwagę, wyrwał zza pasa nóż i rzucił się na Buffalo Billa. Cody odparował pierwszy atak, wytrącił olbrzymowi nóż z ręki i rozpoczęły się straszliwe zapasy.

Nick Wharton usiłował przyjść z pomocą przyjacielowi, ale Indianie atakowali tak gwałtownie, że stary wywiadowca czym prędzej wrócił na swą pozycję przy oknie.

Wydawało się, że wszystko jest stracone. Na chwilę później oddział wojska spadł jak burza gwałtownie na zakręcie drogi zabrzmiął dźwięk trąbki i w Apaczów. Mały Lampart pierwszy rzucił się w kierunku chaty. Wzrok jego padł na Buffalo Billa walczącego z olbrzymem. Młody Indianin rzucił się na pomoc, ale w tej samej chwili Cody potężnym ciosem w szczękę powalił przeciwnika na ziemię.

Walka była skończona.

A tymczasem żołnierze pod dowództwem kapitana Doubleday'a zaatakowali Indian. Rozległy się przeraźliwe wrzaski trwogi i wściekłości Czerwonoskórych, okrzyki bojowe żołnierzy, huk strzałów i tętent kopyt końskich.

Apacze stracili zupełnie głowę. Nie byli przygotowani na walkę z silnym oddziałem regularnego wojska, gdyż przypuszczali, że zadaniem ich będzie jedynie zdobycie chaty, w której znajdowało się kilku zaledwie ludzi.

Po krótkiej walce Indianie poczęli uciekać w popłochu, a żołnierze rzucili się za nimi w pościg. Kapitan Doubleday nakazał jednak wkrótce przerwać pościg. Wiedział on, że Apacze znają doskonale wszystkie przejścia i zakamarki wśród gór i że mogą wciągnąć żołnierzy w zasadzkę.

Na sygnał trąbki jeźdźcy w błękitnych mundurach, „błękitne bluzy“, jak ich powszechnie nazywano, wrócili przed chatę gdzie powitali serdecznie wywiadowców. Kapitan Doubleday wszedł do chaty w której leżał na ziemi skrepowany Boston Jack.

— Co to znaczy? — zapytał ze zdumieniem oficer. — Dlaczego ten człowiek został związany?

— To herszt Apaczów — odparł spokojnie Buffalo Bill, którego wygląd zdradzał dopiero co przeżyta walkę z nędznikiem. — To ten człowiek, który wiódł Indian na wszystkie zbójckie wyprawy. To zdrajca, biały renegat!

Kapitan Doubleday wydał okrzyk zdumienia.

— Jakto? — zawołał. — I ten drab śmiał nas tu przyprowadzić i ofiarować nam swoje usługi? A ja miałem do niego zaufanie!..

Boston Jack zaśmiał się ochryple.

— Dał się pan nabrać, kapitanie — rzekł z ironią. — Nabrał pan do mnie zaufania po tej historii z ukrytą bronią. Gdyby nie Buffalo Bill, zdobyłbym również nagrodę, przeznaczoną dla tego, kto zdławił... Boston Jacka!.. Ha, ha, ha!..

— Czy przypomina pan sobie targ na pieprz,

kapitanie? — zapytał Buffalo Bill. — Niech pan spojrzy!

Kapitan Doubleday wziął jeden ze straków i znów wydał okrzyk zdumienia.

— Ależ to jest złoto! — zawołał.

— Tak — rzekł Buffalo Bill. — To jest złoto tych nieszczęśliwych ludzi, którzy znajdują się obecnie w szpitalu w Solomonsville. Teraz spełni się marzenie ich życia. Będą mogli zamieszkać w spokoju i dobrobycie w jakiejś cichej osadzie na wschodzie...

— A wszystko dlatego, że Buffalo Bill wmieszał się w tę sprawę... — mruknął ponuro Boston Jack. — Jesteś silniejszy ode mnie, Buffalo...

— Kto to jest? — zapytał w pewnej chwili kapitan Doubleday, wskazując na Hannibala Augustusa Jonesa.

— Moja być pocziwy Murzyn — rzekł skromnie starzec. — Moja powieść wszystko o pieprz i złoto.

— To prawda — rzekł Buffalo Bill. — Hannibal Augustus Jones oddał nam bardzo ważną przysługę. Gdyby nie on nie znaleźlibyśmy złota, zrabowanego biednym górnikom.

Murzyn uśmiechnął się z zadowoleniem i wypiął dumnie pierś.

— Hannibal Augustus Marek Anotni Jones być mądry! — rzekł z przekonaniem.

Po pewnym czasie kilku żołnierzy udało się na wywiad w okolicę i wróciło, prowadząc ze sobą Lasca i starego Gonzalesa. Dziewczyna milczała i zachowywała się zupełnie spokojnie, ale stary Meksykanin zaklinał się na wszystkie świętości, że jest niewinny, jak nowonarodzone dziecko.

— Por Dios! — wołał. Nie wiem, czego chcą ode mnie ci wszyscy senores! Jestem uczciwym człowiekiem i żyję z tego, co zarobię od przejeżdżających... Jestem niewinny! Nie wiem nic o Apaczach. Uciekłem przed tymi czerwonoskórymi psami...

— Spokojnie, spokojnie! — rzekł Buffalo Bill. — Wiemy, co o tym wszystkim sądzić. Nie ulega wątpliwości, że jesteś w zмовie z Apaczami i z tym człowiekiem, którego uwięziliśmy. Dowiemy się od niego wszystkiego.

Boston Jack zmiękł i zaczął mówić.

— Lasca to moja córka — oświadczył. — Ten stary Meksykanin zaś jest jej dziadkiem, a moim teściem. Ale oni są niewinni. To ja prowadziłem całą akcję.

Zakończenie

Plan Boston Jacka był niezmiernie chytry. Wskazał on kapitanowi kryjówkę, w której znajdowała się zrabowana broń i w ten sposób zdobył sobie jego zaufanie. Następnie pokierował sprawą w ten sposób, że wojsko udało się po konie. Tymczasem Lasca wezwała Indian, którzy rzucili się na chatę.

Na szczęście plany bandyty nie udały się. Podstęp z pieprzem byłby się udał i nikt nie dowiedziałby się, kim jest w rzeczywistości Boston Jack, gdyby Apacze zawiedli. Ale Hannibal Augustus Jones nie zginał, jak przypuszczał bandyta, lecz przychylnił się do jego wykrycia.

— Jaka była w tej całej sprawie rola Gonzalesa i Lasca, która podawała się za jego córkę. Okazało

się, że Lasca jest wnuczka starego Meksykanina, a Boston Jack jest jej ojcem.

— Moja córka jest zupełnie niewinna — oświadczył Boston Jack. — Bała się mnie i dlatego wykonywała wszystkie moje rozkazy. Stary Gonzales zaś myśli tylko o zarobku i nie go więcej nie obchodzi.

— Zostawmy ich w spokoju, — odparł Buffalo Bill — chociaż wcale na to nie zasługują.

— W jaki sposób dowiedziałeś się o tym że wystąpiliśmy przeciwko tobie? — zapytał Hickock.

— Mam swoich ludzi w mieście — odparł Jack. Pozostawała jeszcze jedna sprawa. Stary Murzyn uprosił Buffalo Billa, aby zabrał go ze sobą i Cody chętnie na to się zgodził.

— Moja pracować dobrze dla Massa Cody — oświadczył uroczyście Hannibal Augustus. — Moja dobrze gotować. Moja przynieść szczęście Massa Cody i wszystkim.

KONIEC.

Czarna i biała magia

Każdy, kto chce wzbudzić sobą zainteresowanie w towarzystwie, może łatwo to uzyskać po przestudiowaniu naszego kursu magii, co jest obecnie dostępne dla wszystkich. Zbiór najciekawszych sztuk z zakresu mechaniki i zreczności. Czarodziejska tablica. Lustro magiczne. Polykanie ognia. Płonąca woda. Podnoszenie wielkich ciężarów. Spiewająca flaszka. Jajo w butelce. Zaczarowana różdżka. Jak stać się niewidzialnym. Odnajdywanie ukrytych przedmiotów. Sztuki z rachiunkami, z kartami. Seanse spirytystyczne. Każdy łatwo potrafi się nauczyć wszystkich sekretów. Wysyłamy łącznie z Czarna Magia różne ciekawe książki, komplet z 6 tomów z 478 sekretami i tajemnicami z ilustracjami za zł. 3.95. Wysyłamy na listowne zamówienie, które płaci się przy odbiorze. — Adresuj:

KAZIMIERZ KOŁODZIEJCZYK oddz.

Warszawa I, Pl Napol. skrz. poczt. 700 B. B.

UWAGA: Bezpłatnie dodajemy książkę p. t. „Poznaj siebie i bliźnich!!!” Jak wróżyć z ręki i z palców, najnowsze sposoby wróżenia.

Cud techniki
nowoczesnej



Automat-
Pistolet „Grom”
kal. 6 m/m —



jest uznany przez znawców za najlepszy. Zabezpiecza od mimowolnego strzału. System belgijski, pięknie oksydowany. Repetuje się przed strzałem automatycznie wyrzuca gilzy. Huk kolosalny. Wykonanie luksusowe. Rekojeści wykładane masą bakelitową. Waga 200 gramów, długość 100 m/m., wysokość 65 m/m. Idealna obrona przed napadem i kradzieżą. Cena zł. 6.95. Dwie sztuki zł. 13.50. Setka naboju system „Flobert” zł. 3.65. Pozwolenie niepotrzebne. Wysyłamy na listowne zamówienie. Płaci się przy odbiorze. — Adresujcie: Przedst. Fabr. Pistoletów

Kazimierz Kołodziejczyk oddz. 2

Warszawa I, Pl Napol. skrz. poczt. 700 B. B.

NIEBYWAŁA OKAZJA!

PRZYGODY TARZANA CZŁOWIEKA LESNEGO

8 tomów — 1240 stron

Cena za całość:

TYLKO 1 ZŁ 50 GR.

Do nabycia w Administracji
„WĘDROWCA”

w Łodzi, — ul. Piotrkowska 49
Konto P. K. O. 600.620

Dziki ludy przypisują często nadprzyrodzone własności martwym przedmiotom, wierząc, że przynoszą im one szczęście i zwycięstwo. Niezwykłe przeżycia Buffalo Billa w walce z plemieniem Apaczów, które posiadało tajemniczy „totem”, zawiera następny 60 numer naszego tygodnika, w którym znajda Czytelnicy przygodę Króla Granicy p. t.

Czaszka Wielkiego Narbony

Numer 60 „Buffalo Billa” ukaże się w dniu 30 marca. Cena 10 groszy.

CHWILKA HUMORU

Są

Nauczyciel zoologii zwraca się do uczniów z następującym pytaniem:

- Czy pośród zwierząt są i takie, które nie słyszą?
- Nikt nie potrafił dać odpowiedzi. Jeden tylko Franek podnosi palec w górę.
- No powiedz — odzywa się nauczyciel.
- Głuche, panie profesorze.

Uzasadniony pośpiech

- Jasiu, dlaczego tak się spieszysz z czytaniem tej książki?
- Ciociu, ja jutro zaczynam dziewiąty rok, a ta książka jest dla dzieci do lat ośmiu...

Oszczędność

- Muszę kupić sobie nowe pantofelki! — oznajmia pani Gębska mężowi.
- Ależ, kochanie, pamiętaj, że nie mamy pieniędzy i musimy oszczędzać!
- Dobrze, mój drogi, wobec tego kupię o numer mniejsze!

Uprzejmy

- Czy ciocia lubi pierniczki?
- Bardzo, moje dziecko.
- Tak? To dam moją paczkę pierników wujciowi do schowania...

Między chłopcami

- Twój tatuś to musi być skapiec. Ma pracownię obuwiarską, a ty biegasz boso.
- E, twój jest skapszy. Jest dentystą, a twój mały braterek ma tylko dwa zębki.

Zagadnienie

- Mamusiu, czy uszy należą do twarzy, czy do szyi?
- Czemu o to pytasz, kochanie?
- Bo kazałaś Heli, żeby mi umyła twarz, a tymczasem ona myje mi także uszy.

Tajemnica

- Mamusiu, czy potrafisz dotrzymać tajemnicy, to coś powiem.
- No naturalnie — a cóż to za tajemnica?
- Wylałem tatusiowi atrament na biurko...

Kto?

Ojciec. — No, dzieci, powiedzcie, kto był w ciągu tego miesiąca najposłuszniejszy i robił wszystko, co mamusia kazała?

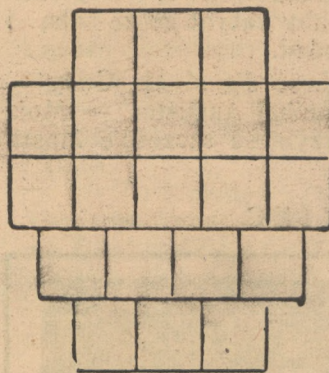
Dzieci (chórem). — Tatuś...

Tradycja

- Nauczycielka wyjaśnia dzieciom pojęcie „tradycji”.
- A więc tradycja to jest taka rzecz, która przechodzi z ojca na syna i t. d.
- Na drugi dzień mały Kazio spóźnił się na lekcję i zostaje przez nauczycielkę skarcony. Na pytanie dlaczego się spóźnił, wybucha płaczem i powiada:
- Bo mamusia musiała mi przyszyć guziki do moich tradycji.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

Eliminatka



W poziome rzędy podanej figury należy wpisać 5 wyrazów o następującym znaczeniu:

1) Pisarz polski (1505—69), autor dzieła p. t. „Żywot człowieka poczciwego”, 2) arterie komunikacyjne w mieście, 3) wspólna nazwa szczepów murzyńskich w środk. Afryce, na pld. od Sudanu, 4) zebranie polityczne, 5) burmistrz francuski.

Po skreśleniu z tych wyrazów liter, wchodzących w skład „klucza”, głoski pozostałe (czytane kolejno) dadzą rozwiązanie: imię i nazwisko współczesnego polskiego poety.

Klucz: w mitologii greckiej stróż Hadesu..

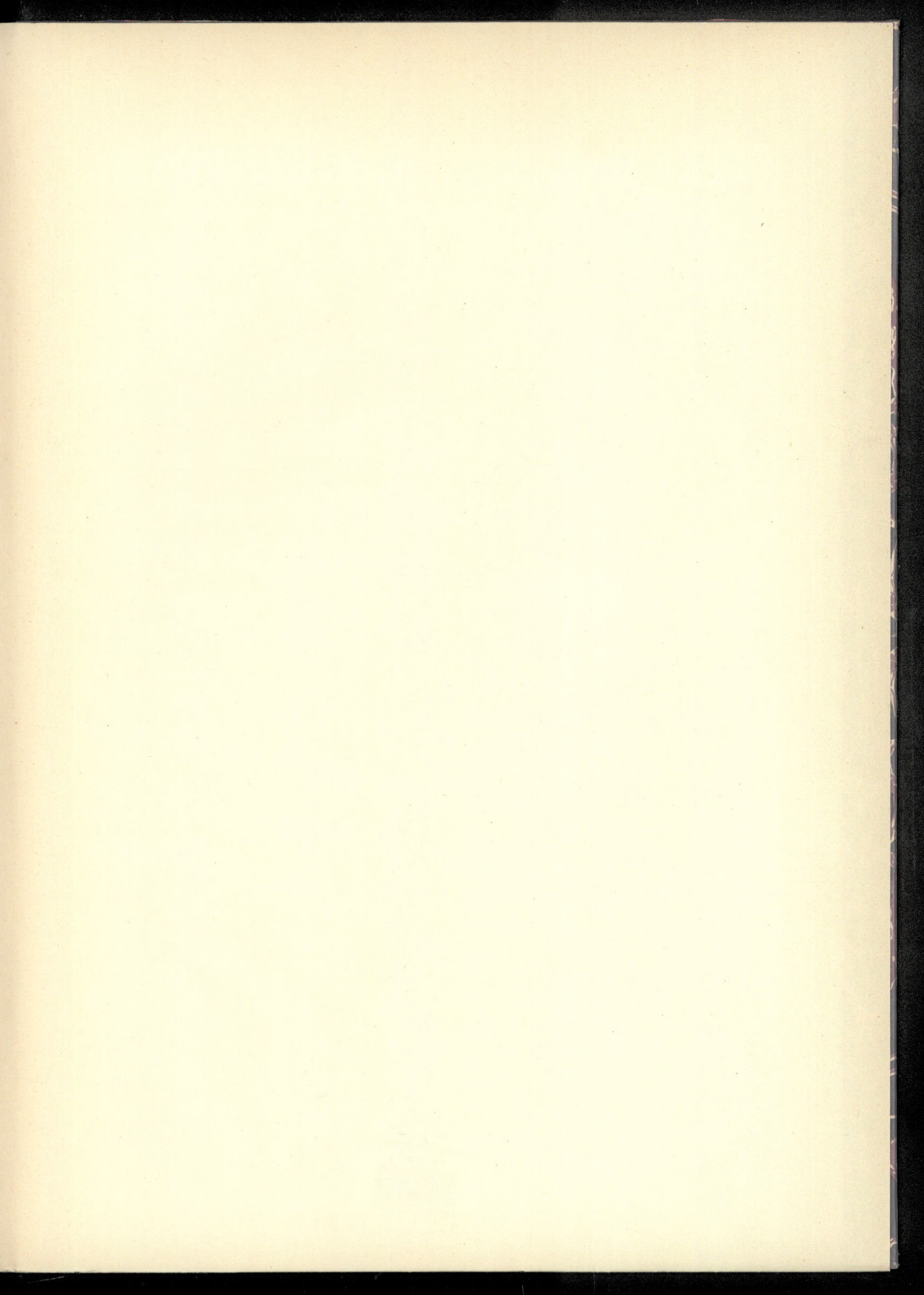
Arytmograf

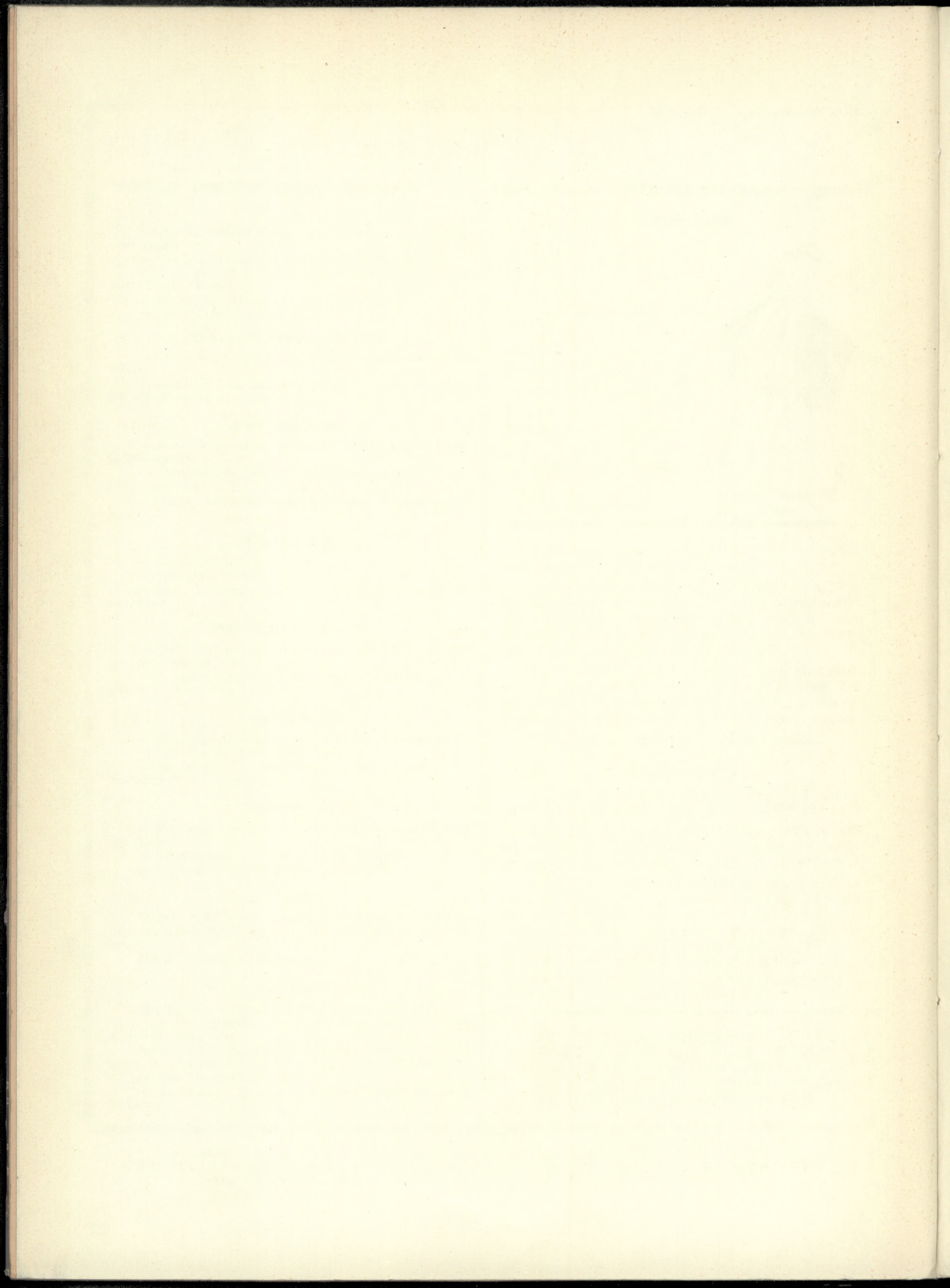
1 2 3 4 5 6 7 8 1 2 — 8 9 10 4 5 11 12 10 13 —
14 2 7 1 15 16 5 — 17 2 18 — 19 15 4 13 15 9 5 4 15 14 5.

Przy użyciu klucza pomocniczego należy powyższe cyfry i liczby zastąpić odpowiednimi literami w ten sposób, aby otrzymać rozwiązanie:

Klucz: 19 10 3 — ssak z rodziny kotów, największy kot Europy, 7 11 17 — ptak drapieżny, żywi się przeważnie padliną, 9 2 18 15 — ciecz bez barwy i zapachu, 12 6 1 5 — owady o ubarwieniu zielono-granatowym, połyskującym metalicznie, 16 15 14 15 — kapłan buddyjski w Tybecie, 18 2 8 15 — inaczej dawka, 4 13 2 — opłata, pobierana przez państwo od towarów przewożonych przez granicę.

ROZWIĄZANIA ROZRYWEK UMYSŁOWYCH Z „BUFFALO BILLA” KIEROWAĆ NALEŻY POD ADRESEM: REDAKCJA „BUFFALO BILLA”, ŁÓDŹ, PIOTRKOWSKA 49. DZIAŁ ROZRYWEK UMYSŁOWYCH.





Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001023453591



623406/59

BN

BN

BN

BN

BN

BN

BN

BN